

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

## PRENUMERATA:

Z przesyłką poczt. lub dostarcz. do domu  
Rocznie . . . . . 8.—  
Półrocznie . . . . . 4.00  
Kwartalnie . . . . . 2.00

## REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26

Otwarte codziennie prócz świąt od  
11 godziny do 4 pp.

Skrzynka pocztowa № 52

## CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu . . . . . 50 k.  
W tekście (nadesłane) . . . . . 1 rb.  
Po tekście . . . . . 20 k.

### Przykład do naśladowania.

Są idee tak żywotne, że zakłete w martwe przedmioty nawet, nie przestają emanować i wpływ swój wywierają na odległe pokolenia.

Kto wie? Być może z kopca, usypanego we Lwowie na pamiątkę Unji Lubelskiej, być może z obrazu Matejki, zawieszzonego w Sali Sejmowej spłynął na kłócących się od tak dawna zajadle polityków polskich i ukraińskich dobroczynny pojednawczy nastrój. W chwili krytycznej przyszło wreszcie do opamiętania, stało porozumienie, gorąco pożądane przez wszystkich, patrzących dalej i głębiej, witane sykiem niechęci przez tych, którzy na jątreniu dwóch spóżyjących z sobą narodów robili doskonale interesy.

Posiedzenie Sejmu lwowskiego w d. 1(14) lutego przedstawiało, jak zgodnie stwierdzają wszystkie relacje, niezwykły, uroczysty widok. Gdy uchwalono jednogłośnie reformę wyborczą, w sali zapanał nastrój podniosły, jaki towarzyszy zwykle chwilom o doniosłości dziejowej, gdy powstają dzieła monumentalne, wiekopomne.

Nie należy oceniać fałszywie dokonanej ugody polsko-ruskiej. Z łamów pism, pragnących uchodzić za kwintesencję trzeźwości, rozległy się głosy pesymistyczne, twierdzące, że złudzeniem byłoby przypuszczać, iż walka między polakami a rusinami w Galicji odtąd ustanie, że przeciwnie: jeszcze bardziej się wzmoże i zaogni. Niewątpliwie ustępstwa, uczynione rusinom, nie zadowolą ich raz na zawsze. Tylko nie rachujący się z życiem marzyciel może wyobrażać sobie, iż kiedykolwiek, a przynajmniej w perspektywie, którą umysłem naszym obejmujemy, ucichną namiętności ludzkie, znikną wszelkie antagonizmy, słowem zapanuje raj na ziemi. Tam, gdzie stykają się dwie indywidualności, nie obejdzie się nigdy bez starć i rywalizacji. Narody są właśnie takimi potężnymi zbiorowami indywidualizmami. Dążność do ekspansji w nich jest tak silna, jak instynkt rozrodczy w pojedynczym człowieku. Więc niema co marzyć o sielankach.

Nikt przeto rozsądny nie może przypuszczać, aby walka polsko-ukraińska, ścieranie się wpływów dwóch odrębnych kultur narodowych mogły ustać. Rywalizacja będzie trwała i nadal. Nie zmniejsza to jednak doniosłości uchwalonej reformy, jako konkretnej formy porozumienia na dziś, jako czasowego zawieszenia broni. Zrozumienie obecnej chwili politycznej, wspólnego niebezpieczeństwa, wobec którego wewnętrzne swary i kłótnie odejść muszą na plan dalszy—jest bezwątpienia głównym momentem ugody polsko-ruskiej. Świadomość potrzeby załagodzenia ostrego zatargu i uporządkowania spraw domowych wobec zbliżającej się burzy—świadczy pochlebnie o wyrobieniu politycznym działaczy galicyjskich, stanowi, być może, moment zwrotny w dotychczasowej ich orientacji, a raczej dezorientacji.

Dla naszych zaś stosunków, zasadniczo tak podobnych do galicyjskich, zgoda polsko-ruska winna być wzorem i pouczającym przykładem. My też mamy swoje własne nieuporządkowane sprawy narodowościowe, bardziej jeszcze skomplikowane nawet, bo zawierając nie dwa, lecz trzy pierwiastki. Zasada jednak przy rozwiązywaniu zagadnień tych pozostaje niezmienna. Tradycje Unji, wskrzeszone obecnie we Lwowie, żyją w naszej psychice i nie straciły nic ze swego uroku i swej mocy przekonywającej. By mogły one odegrać rolę czynnika realnego, wymagają wszakże dwóch warunków podstawowych: dojrzałości politycznej kierowników ruchu litewskiego i białoruskiego oraz demokracji społeczeństwa polskiego—tak, aby głos w nim miały żywioty młodsze, energiczniejsze, ruchliwsze i ogarniające wzrokiem szersze horyzonty.

Przykład Galicji jest pod tym względem aż nadto wymowny. Wielkie pytanie, czy reforma wyborcza doszłaby do skutku, gdyby pertraktacje toczyły się między przedstawicielami ludu ukraińskiego i szlachty polskiej wyłącznie. Podolacy, reprezentujący obszarnictwo wschodnio-galicyjskie, do ostatka wytrwali na stanowisku niechętnym względem wszelkich koncesji na rzecz rusinów i najmocniej hamowali sprawę reformy wyborczej. Na szczęście, nie oni stanowili czynnik decydujący. Lud polski, w osobach swych posłów rzucił swe ważne słowo



na szalę układów" i przechylił ją ostatecznie na stronę interesu publicznego, narodowego, pojętego szeroko i rozumnie.

Przywódcy ukraińscy również wykazali znaczne wyrobienie polityczne, rezygnując na teraz ze swych przesadnych żądań i uroszczeń, poprzestając na konkretnych zdobyczach, dających im możliwość odgrywania w życiu kraju bardziej czynnej roli. Obu stronom chodziło o wypracowanie jakiegoś *modus vivendi* i cel ten w zupełności został osiągnięty.

Dało się to skutecznie o tyle łatwiej, iż ideologia narodu ukraińskiego jest całkiem wyraźna i żadnych wątpliwości nie może budzić. Gdy poseł moskalofilski Markow zaczął przemawiać w sejmie po rosyjsku, protest się rozległ z ław ukraińskich. Fakt ten świadczy o głębokim uświadomieniu narodowym w społeczeństwie rusińskim, prezentującym swe oblicze otwarcie, bez żadnej maski.

O ileż prostszą jest droga do porozumienia z sąsiadem szczerym niż z takim, co się ima wszelkich sposobów, by zdobyć dla się wpływy i znaczenie. Gdy się widzi, że pionierzy odrodzenia białoruskiego wydają u siebie w domu pisma rosyjskie i zakładają instytucje kulturalne rosyjskie, gdy działacze litewscy utrzymują zażyły stosunek z najbardziej zachłannymi wstecznikami rosyjskimi — opadają ręce, wyciągnięte do serdecznego uścisku, i ginie wszelka chęć nie tylko już do wspólnej pracy, lecz nawet rozmowy.

Przykład ukraińców powinien podzielać otrzewiająco na tych polityków z obozów litewskiego i białoruskiego, którzy dziś, w pogoni za doraźnym zyskiem, gotowi są za miskę soczewicy wyzbyć się o wiele donioślejszych zdobyczy w przyszłości.

Powinien, lecz czy podziela? L. A.

## „Był sobie paż“.

Czesława Jankowskiego WIERSZE  
NIEKTÓRE. Kraków. G. Gebethner  
i Spółka 1913.

Dawne, bardzo dawne czasy, gdy to paż był jeszcze młodzieńki i piękny i gdy się zdarzały takie chwile, że dworskie damy nie umiały przyprowadzić pazika na wezwanie króla, bo... chociaż „znalazła go wnet każda z dam, lecz — ach!.. dla siebie samej“... Działo się to całe dwadzieścia pięć lat temu... W tym to czasie wytworny pisarz i pełen wdzięku poeta, Czesław Jankowski, pisał w dodawanym do petersburskiego „Kraju“ *przeglądzie literackim* takie, między innymi, słowa: „Całą gromadkę dziatwy Apolina, biorącą dziś jeszcze lirę do ręki, uznano za nieprawe potomstwo, za pogrobowców nieszczęsnych, którzy nie w porę i po czasie na świat przyszli i miejsc, przez dawne pokolenia opróżnionych, zająć nie mają prawa. Wielu starodawnym zwyczajem skruszyło tarczę herbowa poetów z woli Bożej na płycie grobowej

## Pracowite ministerjum.

Naprzód uspokojenie, a potem reformy — głosił Stołypin.

Tymczasem, uspokojenie trwa lat 8, poczyna się już kruszyć, a reform — jak nie widać, tak nie widać.

— Tak dłużej żyć nie możemy — wołają solidni i lojalni obywatele państwa.

— Nie możecie tak żyć? — odpowiada rząd. — A więc jesteście niezadowoleni! A więc nie jesteście dostatecznie uspokojeni!

Szereg nieporozumień.

Obywatele mają i nie mają racji. Mają, bo istotnie dotąd reformy żadne w życie wcielone nie zostały. Nie mają, bo pracowite ministerjum p. Maklakowa przygotowuje coraz nowe projekty praw, mających za zadanie „zreformować“ życie społeczeństwa.

Opracowanie projektów tych nie jest rzeczą łatwą, nie chciało też ministerjum zbyt się z niemi spieszyć. Co nagle, to po djable, jak mówi przysłowie. Zwłaszcza, gdy chodzi o stworzenie praw, któreby mogły służyć lata i nie tylko obywatelom lecz rządowi.

Prawa muszą być plecione, jak sieci rybackie. Muszą być mocne, ciągle, a zarazem o okach tak ścisłych, by przez nie nie mógł się przecisnąć nie tylko kielb mały, lecz żaden „inorodiec“, żaden „rewolucjonista“.

Ministerjum spraw wewnętrznych, ten warsztat uniwersalny praw wszelakich, przepisów, postanowień, cyrkularzy, miało szkopał nielada, od jakich reform rozpocząć, jakie uznać — dla rządu i obywateli — za najspieszniejsze.

Zadanie było tak trudne, że p. Makarow nie mógł dać sobie z niem rady. I dopiero tęga głowa p. Maklakowa rozcięła umiejętnie węzeł gordyjski wątpliwości. Nowy minister uznał słusznie, iż pogodzić interesy obywateli i rządu można tylko w ten sposób, że w pierwszym rządzie będą opracowane te reformy, które dadzą rządowi gwarancję spokoju wewnętrzne-

„ostatniego z wielkich pokolenia“ i niepocieszeni po stracie swoich ulubieńców, już dla nikogo więcej serca nie mają. Inni nie zadają sobie wcale fatygi rozumować: twierdzą na wiarę innych, że Mickiewicz był gienjuszem, a między dwudziestym i sześćdziesiątym rokiem bieżącego wieku kwitła polska poezja, zaś dziś poezja owa gdzieś się zapodziała i zupełnie im to wystarcza. Są to ci, co kiedyś, bardzo dawno, za młodu jakiś renomowany poemat przeczytali, a dziś nie mają zwyczaju zgłębiać wierszy czytać. Są jeszcze, a tych spora jest liczba, którzy, jak wogóle wszystkie sztuki piękne, tak i poezję, uważają za rodzaj miłego dodatku do produkcji umysłowej, za coś w rodzaju niewinnej zabawki, za cacko, za przedmiot zbytku; ci nie zaprzeczają jej istnienia ani dziś, ani wczoraj, tylko tak dalece ją lekceważą, że gotowi są przystać na wszelki sąd o niej. Pozostaje wreszcie najliczniejszy aeropag, — tłum. Ten się wcale na utworach poetyckich nie zna, a wyrokuje o nich z bezgraniczną pewnością siebie. Nie ma dziś kraju, posiadającego własną literaturę, w którymby publiczność mniej smakowała w utworach poetyckich, z większym wyrażała się o nich lekceważę-



go, a obywatelom — gwarancję zabezpieczenia ich przed potrzebą nowego uspakajania w przyszłości. Innymi słowy, reformy winny mieć to na celu, aby wilk był syty, a owca... zawsze była gotowa do zaspokojenia jego apetytu.

Przyczyną trosk rządu i niepokojów były zawsze: drukowane słowo, które budziło ferment w umysłach, niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, lub wprost nawoływało do buntu, dalej — złe obyczaje i rozpusta „nizin“; wreszcie, — stowarzyszenia i związki, gdzie bunt dojrzewał i skąd wylewał się nazewnątrz. Przyczyną zaś — niedostatecznej reakcji na zjawiska te ze strony rządu — był brak odpowiedniej policji, jej niedość umiejętne i celowe zorganizowanie.

Z tych prostych przesłanek p. Makłakow wysnuł wnioski logiczne i proste.

Reformy winny zagwarantować przedewszystkiem rządowi i obywatelom bezpieczeństwo ze strony prasy „szkodliwej“ oraz związków niepożądanych, a poza tem stworzyć takie kadry policji, któreby odpowiadały włożonym na nie wielkim zadaniom państwowym.

I oto rozpoczęła się w kancelariach ministerjalnych praca ożywiona i płodna.

Wypracowano projekt prawa prasowego, projekt prawa dla walki z chuliganerją, t. j. ze wszelkimi elementami niepewnymi i naruszającymi spokój policyjny, po raz „nplus pierwszy“ przerobiono projekt reformy policji, a ostatnio — wykończono projekt prawa o stowarzyszeniach i związkach.

Obywatele, skłonni zawsze do jednostronnego ujmowania spraw, oburzają się na te projekty. A przecież, trzeba to przyznać, są one budowane bardzo starannie, szczegółowo, pedantycznie i, co najważniejsze, celowo.

Czuć w nich myśl przewodnią, wolę i konsekwencję.

Projekty: prasowy, walki z chuliganerją i reformy policji — są już mniej więcej znane z debatów w Dumie i komisjach. Zatrzymujemy się przeto na ostatniem arcydziele p. Makłakowa, projekcie prawa o stowarzyszeniach i związkach.

niem, mniej się na nich znała. Nie, zaprawdę, myśmy nie atęczycy, przerywający okrzykami oburzenia przedstawienie w teatrze, kiedy aktor pozwolił sobie wiersze poety fałszywie przeszkandować!.. A rzecz dziwna, że pomimo wyrzeknięć i lekceważącej obojętności, publiczność nasza wymaga od poetów, dziś piszących, conajmniej — arcydzieł. Niema surowszego krytyka poezji nad publiczność. Krytyk fachowy podniesie jeszcze tę, lub ową dodatnią stronę w danym utworze, zestawia go z innymi, zaznaczy bodaj jego pojawienie się na literackiej niwie. Publiczność do tego stopnia jest przekonana o mierności wszystkiego, co z pod pióra poety wychodzi, że nawet uwagi zwrócić nie raczy na zahukanego z góry przybysza. Zabija go najstraszniejszą bronią: obojętnością i milczeniem. Wydawcy zrozumieli dobrze to usposobienie czytającego ogółu i podają mu poezję w dozach znakomicie do smaku dzisiejszego zastosowanych. Podają ją w czasopismach, roztrzęsioną między poważniejszymi artykułami, niby jakiś *sui generis* znak pisarski, na którym się głos i myśl zawiesza. Poezje, wypełniające tom cały, są dziś rzeczą wprost niemożliwą do przełknięcia“...

Nie druzgoce on, co prawda, rzeczywistości, boć i dzisiaj wszelkie instytucje, stowarzyszenia i związki są spokojne, są otoczone znakomitą opieką, boć i dzisiaj ceremonji wielkiej władze sobie z niemi nie robią, — lecz rzeczywistość tę zatwierdza prawnie i... uzupełnia.

Dotąd były tylko przepisy tymczasowe, obecnie będzie funkcjonowało prawo; dotąd istniały pewne, luki, obecnie żadnych luk — nie będzie.

Praktyka lat „niespokojnych“ i stanów wyjątkowych wykazała, że nikt tak skutecznie nie może walczyć z wszelkimi instytucjami „inorodców“, z wszelkimi związkami robotniczymi, z wszelkimi stowarzyszeniami, choćby liberalnymi tylko, jak posiadająca władzę administracja miejscowa.

Stąd wniosek prosty: rzeczywistość tę, praktykę tę — utwierdzić.

Odnośny punkt nowego projektu nie pozwala ludzić się co do intencji.

„Jeżeli działalność stowarzyszenia, czy związku — głosi on — zagraża spokojowi publicznemu, lub przybiera kierunek nienormalny, gubernator, lub naczelnik miasta („gradonaczalnik“) ma prawo własną władzą zawiesić czynności stowarzyszenia czy związku, podając jednocześnie motywy zamknięcia go do komisji dla stowarzyszeń, załatwiającej te sprawy w ciągu miesiąca. Zarząd, lub kierownicy stowarzyszenia wzywani są na posiedzenie komisji, dla złożenia wyjaśnień, a ta wydaje następnie umotywowaną decyzję“.

Dotąd było mniej więcej to samo, lecz obywatele liczyli na „reformy“.

Reformy te przyjąć muszą i przyjdą, lecz nie z kuźni p. Makłakowa i nie via „duma czwarta“.

Organ październikowców „Głos Moskwy“ został przewidującą myślą p. Makłakowa wprost olśniony.

„Nie trzeba być prorokiem, — pisze on (№ 4) — żeby przepowiedzieć, iż urzeczywistnienie projektu o stowarzyszeniach i związkach — w tej formie, jaką projektuje ministerjum spraw wewnętrznych, będzie wspaniałym nagrobkiem kamiennym na przedwczesnej mogile organizacji społecznych“.

Tak pisze „Głos Moskwy“ obecnie, lecz nie należy stąd wyciągać jakichkolwiek dalej idących

Tak niewdzięcznie charakteryzuje ówczesną epokę popularny wtedy twórca trzech serji poezji i większego poematu „Psyche“.

Od tego czasu zaszło wiele ważnych wypadków. Poezja polska, którą wszyscy zgodnie skazywali na śmierć po epoce pozytywizmu, rozkwitła nagle czarodziejsko. Wciągu lat kilkunastu zjawia się, jeden po drugim, cały szereg przedstawicieli *nowej* poezji polskiej: Kasprówicz, Miriam, Lange, Tetmajer, Wyspiański, Staff, Miciński. Skończyło się na zawsze królestwo Pola i Syrokomli... Poezja znowu brzmi potężnymi głosy, a chociaż stosunek ogółu do niej nie o wiele jest lepszy, niż w r. 1888, powstają znowu narzekania na nadmierne jakoby „rozpoetyzowanie się“ społeczeństwa...  
Co się działo przez te lata z „Czesławem“ autorem wdzięcznych Arabesk, Capricciów, pełnych uśmiechu piosenek? Przechodził koleje, jakie tylko wyobrazić sobie można w kraju takim jak Polska: ten obywatel ziemski, urodzony poeta, zaciągnął się do publicystyki: pisywał wszelkiego rodzaju artykuły polityczne, społeczne, krytyki literackie, teatralne; obok tego tworzył nowele, pi-



wniosków, konsekwencji — co do stosunku październikowców do rzezonego projektu w Dumie i komisjach.

Oburzenie ich zostało wywołane tylko zbyt bezceremonjalnym podkreśleniem „opieki”; niczem więcej.

Wniknięcie głębsze w treść projektu napewno pogodzi ich z nim i udobrucha.

Ostrze jego wymierzone jest głównie przeciwko lementom niepokoju: „inorodcom” i ludowi pracującemu. A wszak październikowcy — to ludzie ładu.

Inna rzecz, że trudno będzie pogodzić się z nowym projektem „inorodcom” i robotnikom, których „reforma” bierze w żelazne kleszcze.

Rozwój związków zawodowych zostaje prawie uniemożliwiony. Obecny projekt zabrania związkom poszczególnym łączyć się w związki ogólne, zabrania wstępować do związków i pracować w nich osobom postronnym (wymierzone przeciw inteligentom, kierownikom), zabrania wstępować do związków robotnikom, mającym mniej, niż lat 17, zabrania brać udział w zebraniach ogólnych robotnikom, mającym mniej, niż lat 21, i pracującym w danej fabryce krócej, niż rok. Jednym słowem, składa się z szeregu zakazów i ograniczeń.

Co się tyczy „inorodców”, to z tymi projekt łączy się radykalnie, choć krótko: ukręca im język.

Ani pisać, ani mówić w swoim języku — nawet przy drzwiach zamkniętych własnego lokalu! W przeciwnym razie, całość i powaga państwa są zagrożone.

Perspektywy — obiecujące, ale, miejmy nadzieję — nieziszczalne.

A nieziszczalne — nie dlatego, że któryś z naszych dzielnych posłów postara się dowieść, że polacy nie mogą być zaliczeni do „inorodców”, ani dlatego, że inny ustosunkowany poseł będzie się starał „wpłynąć” na sfery miarodajne, ale dlatego, że czasy się zmieniają i że projekt się cokolwiek... spóźnił.

Pracowite ministerjum tego jednego nie przewidziało.

Wi—ski.

sze monografię powiatu Oszmiańskiego, redaguje „Kurjer Litewski”, posługuje do Dumy. Jest u nas jednym z najczujniejszych strażników „ducha literackiego”; posiada nienasyconą ciekawość wszelkich objawów artystycznych na Zachodzie, umie o wszystkim mówić z rzetelną kompetencją, smakiem, wdziękiem. Z tego, co napisał w ciągu lat trzydziestu kilku, dałoby się złożyć kilkadziesiąt tomów. I oto ten pisarz wytrawny, pracowity, doświadczony, obdarzony wybitnym talentem pisarskim, staje dziś raz po raz wobec pytania: gdzie pisać? To są bardzo znamienne rezultaty naszych stosunków kulturalnych.

W takiej melancholji przychodzą momenty tęsknoty za własną, rzadka już tylko nuconą, piosenką. Jankowski nie ulega złudzeniom, iż pieśń ta niesie jakieś wielkie, pobudkowe tony. Uśmiech jego, po doświadczeniach niezwykle pracowitego życia, nie zgorzkniał, ale wysubtelnił się raczej. Poeta nie tylko dobrze wie, jak się odsunął od poetów pokolenia, ale umie się zdobyć na miękka, pozbawioną pretensjonalności autoironię. W wierszu, napisanym na jubileusz Tetmajera, taką stosuje do samego siebie apostrofę żartobliwą:

## Masony.

Spryt demagogii endeckiej wystawiony jest obecnie na próbę nielada. Wszystkie dotychczasowe sprężyny agitacyjne kolejno tracą dawną swoją siłę.

Przedewszystkiem kończy się w Galicji wojna z rusinami. Długi szereg „hajdamackich uroszczeń”, któremi przez lat dziesięć straszono opinię publiczną, jako najaktualniejszym dla Polski niebezpieczeństwem, dziś ma być zaspokojonych. Konieczność dziejowa bierze górę nad „egoizmem narodowym”, przyczem wychodzi na jaw szkodliwość roboty bezwzględnych egoizmu tego szermierzy. Ustępstwa, mianowicie, czynione teraz ukraińcom, są znacznie większe, niż być by mogły, gdyby je ofiarowano wcześniej: gdyby dano z dobrej woli, z pobudek humanitarnych, a nie czekano, aż je strona przeciwna wydrze siłą własną tudzież interwencją Wiednia.

Z chwilą zawarcia ugody polsko-rusińskiej, wyschnąć musi jedno z najobfitszych źródeł narkotyku, którym endecja przez długie lata upajała kołtunów, na hasła nacjonalizmu wrażliwych.

Wobec tego stara się ona zawczasu uaktualnić w Galicji kwestję żydowską. Od kilku miesięcy dostrzegamy wysiłki, by sprawę tę na grunt tamtejszy żywcem z Królestwa przeszczepić. Zamiar ów jednak z góry skazany jest na to, że tylko w pewnej części udać się może. W Galicji walka z żydowskim pasywnictwem handlowem zdążyła wejść już na tory spółzawodnictwa kulturalnego. Nadmiar geszefciarskiego mrowia zwolna, stopniowo, ale solidnie wypierany jest przez swobodnie rozwijające się kooperatywy. Pozatem niema tu „litwaków”, ani żadnego wogóle najazdu z zewnątrz. Istnieje natomiast dość liczna sfera żydów spolszczonych i sprawie polskiej oddanych, których — zwłaszcza w Galicji wschodniej — Dem. Narodowa sama uczyła cenić, jako element dla społeczeństwa wartościowy. Niezależnie od okoliczności powyższych, pamiętać trzeba, że w państwie praworządnym, liberalnym wcale myśleć nie można o rozmaitych ograniczeniach i perogatywach,

„Pasaleś pacholeciem arkadyjskie trzody  
Miernie: potem-eś z paziów kumał się hołota;  
Leciało wszystko niebem, tyś się włókl piechota  
Po ścieżkach jakichś drobnych, zarośniętych trawą;  
Arfy grały pod tumów uroczystą nawą,  
Tyś brzdąkał na gitarze w przydrożnej gospodzie;  
Wszystko, co górne, wzniosłe, szczytne, było w modzie,  
Erupcją wulkaniczną huczał głos poety,  
Dla ciebie—balkon szczytem był najwyższej mety”.

Jankowski zdaje sobie doskonale sprawę, że zbudował *własny* rodzaj poetycki, który ma taką samą rację bytu, jak każdy inny, szczerze poczęty. Ale wie również, że jego *roccoco* i Louis-Quinze nie jednemu się wydają grą „na gitarze w przydrożnej gospodzie”, że chcą od niego koniecznie, aby „płaszcz zasnuty mólów pajęczyną” skropił „esencją jaką mocną—wielko-idejową”. *N'importe!* — będzie śpiewał po swojemu. A więc „poemat nieduży” miłości, spisany „na listku róży”, a więc dzwieczne trubadurowe canzony do kochanki, a więc tkliwe „bajki niewyjaśnione” z tych właśnie, o jak-



jakich antysemityzm śmiało domagać się może w Królestwie.

Na podłożu więc hasel antysemickich dla działalności praktycznej pozostać tu może to tylko, co — jak się okazało — daleko lepiej od endecji w czyn wprowadzać mogą pewne odgałęzienia postępowców naszych.

Podniesienie przez żywioty te hasła emancypacji ekonomicznej i wytworzenia własnej, rodzimej burżuazji zaszachowało narodową demokrację ze strony najmniej, zdawało się, zagrożonej. To też przez pewien czas widać było, że nie wie ona, jak się zachować wobec faktu wystąpienia na widownię ludzi, głoszących hasła wolnomyślne, antyklerykalne — ludzi, których jednak nie można było — z racji ich jaskrawego antysemityzmu — o żydostwo pomawiać.

Liberalizm polski, dotrzymujący endecji kroku w swej względem żydów antypatii; pojawienie się nawet socjalistów, których patriotyzm polski nie może ulegać żadnym wątpliwościom; samodzielność ruchu chłopskiego, który bez wszelkich „obcych“ wpływów strzela w Królestwie „zaraniarstwem“, a w Galicji — mimo obalenia Stapińskiego — pod komendą endeczną iść nie chce: wszystko to zmusza partję p. Dmowskiego do szukania jakiegoś nowego hasła, nowego straszaka, zdolnego rozłączyć się owczarnię znów pod jeden pstry sztandar spędzić.

I znaleziono wreszcie, utrafiono.

Masony!

Zaczyna się to oględnie: artykułami „naukowemi“, które od niejakiego czasu sporadycznie, acz coraz częściej, ukazują się na łamach prasy endeckiej. Autorzy studjów tych dbają o pozory bezstronności. Na początek, chodzi im niby tylko o to, by ogół dowiedział się, że masoni — to prawda, nie legenda;

Ostrożność tę dyktuje fakt, że masonińskiego straszaka nadużywali długo wiejscy kaznodzieje, a popuszczając wodze wybujałej fantazji i nieuctwu, utożsamili go w świadomości mas z autentycznym szatanem — szatanem nie z tego świata. W rezultacie doszło do tego, że dziś na dźwięk imienia „mason“ naiwny ludek żegna się pobożnie, a mniej nieco na-

iwny wzrusza ramionami, w przekonaniu, że to tylko wymysł księdza proboszcza.

Otóż właśnie z tem przypuszczeniem, wielce popularnem, rozpoczynają dziś walkę organy pp. Dmowskiego, Grabskiego, Balickiego, Sadzewicza i t. p. Rzecz prosta, iż obiektywizm nie jest tu obliczony na daleką metę. Już z pierwszych artykułów widać, iż dziennikarscy historycy masonerji w Polsce, nie porzestaną na omawianiu (i swoistem oświetlaniu) czynów minionych tej organizacji, lecz zamierzają przejść do tropienia jej dzisiaj. Trzeba przecież wynaleźć jakąś wspólną, odstraszącą nazwę dla Świętochowskiego, Rzymowskiego, Moszczeńskiej i innych tego obozu publicystów, których niepodobna już mieszać z żydami, a należy jednak wykluczyć z endeckiego „społeczeństwa“.

Więc choć masonerja tam nawet, gdzie dotąd wogiętje jako organizacja szczątkowa (Francja, Włochy), nie jest bynajmniej czynnikiem rewolucyjnym, wywrotowym; choć burżuazja europejska, której masonerja była ideologją, i bez istniejących dotąd łóż wolnomularskich zachowałaby wpływy swe, stanowisko i kierunek polityki społecznej; choć wreszcie liga ta istniała w Polsce tylko czas krótki, choć należały do niej najznakomitsze umysły z końca XVIII i początku XIX wieku, ludzie, których dziełem była konstytucja 3 maja, legjony; choć wraz z nimi legła ona w obronie świętej sprawy — mizerne rachuby partyjne będą ją teraz wywlekały z grobu.

Masony!... Toć to pomysł wyśmienity. Byle tylko ożywić wiarę w ich obecną, rzeczywistą potęgę; byle uprawdopodobnić strachy, które wprawdzie zdyskredytowała nieco prostota wioskowego duszpastorza, ale którym jednak zdołała ona zapewnić szeroką popularność. Nazwa, brzmienie — rzecz nieoceniona dla wyzyskiwaczów bezmyślności i inercji tłumu. Ten tłum nie wie i wiedzieć nie będzie, że masonami bywali nawet kapłani polscy — ci właśnie, których czcimy w rzędzie patriotów najlepszych, głów najświatlejszych.

Historycy endeccy z pewnością prawdy tej popularyzować nie zechcą.

Wobec wszakże widocznych z ich strony przygo-

że dalekich czasów, gdy „był sobie paź“ młody i piękny! Czasem zabrzmi w tych pieśniach gładek, słodczy i zapachu pełnych, dźwięk dyskretnej radości, że się piło „życia prawdziwe nektary z niepokażnej, prostej, skromnej czaszy“, ale czaszy „niczyjemi ustami nietkniętej“. Czasem stają, jak żywe, sny młodości, serce zdejmując żal, „na widm tych szeregi, płynące gdzieś w dal“ — ale życie płoszy te tęskne zadumy i wracają figlarne, pazikowe akcenty, subtelne, buduarowe djalogi, kapryśne gry słów, sarkazmy a la Heine, pełne wyrafinowania, giętkie w formie erotyki („Przesytu spokój i zobojeńnienie“.) Czasem budzi się gawędziarski szlachcic litewski i w rytmie Syrokomli opowiada o „Napoleonie w Oszmianie“. Ale ta szata pożyczana nie jest już *almawiwą*, ale wersyfikacyjną zdolnością doskonałego noszenia innych strojów. „Czesława“ istotnego znajdziemy w miękkich, nerwowych, cieniutko snuty „motywach Szopena“, w niezwykle sprawnych, stylowo wykonanych strojach „Menueta“, w miłej spowiedzi „Pazia królowej“, kłęczącego u stóp swej pani.

Raz jeden życie samo przyniosło ową „esencję wielko-idejową“, którą miała być skropiona sta-

ra almawiwa. „Czesław“ i tu nie przestał być sobą: zamknął „dni wolnościowe“ w melancholijnym „tryptyku“ trzech piosenek, bo nie cierpiał nigdy „mazgajstwa i pozy, i pustego, na wiwat, frazesu“. W marcu 1906 r. pisze Jankowski w Wilnie takie strofki o „Dzwonie zatopionym“:

Szum pióropuszków, szcęk pałasza,

Z jękiem hymnów — tonie...

Polska mowa, mowa nasza

Zatopiony dzwonie.

Senatorsko i orężnie,

W laurach i koronie,

Z głębin zabrzmiż znów potężnie

Zatopiony dzwonie!

Niestety, „przeleciał nocą cudny ptak gdzieś, którąś nieba stroną“, powróciła cała szarość nędznego polskiego istnienia. „Czesław“, w chwili tęsknoty, zasiada znowu „w podróżnej gospodzie“ i przesuwając sobie przed pamięcią dawne wizje po-



towań do szerzenia obskurantyzmu pod hasłem walki z masonerją — rzekomo dotąd istniejącą u nas i potężną, wartoby zawczasu rozpowszechnić prawdę o masonach polskich, o roli, jaką odegrali, a wreszcie zebrać pełną listę członków łóż wolnomularskich, którzy zarówno organizacji tej, jak i narodowi swemu zaszczyt przynosili.

H. R. C.

## Listy z Galicji.

(Ugoda polsko-ruska — Moskalofilstwo — Odczyty Sokolowa — Rozruchy głodowe).

Kraków, 16 lutego.

Z uczuciem ulgi cała ludność powitała wiadomość o doprowadzeniu do skutku, pomimo wszelkich przeszkód, stawianych nawet w ostatniej chwili, sejmowej reformy wyborczej. Byłoby nieuzasadnionym optymizmem mniemać, że załatwienie reformy wyborczej przez uchwałę sejmową z dnia 14 lutego oznacza zawarcie ugody polsko-ruskiej na całej linii. Pozostaje przecież sprawa uniwersytetu ruskiego, która szybko na wierzch wypłynie, a już dziś daje nam przedsmak tych przejść, jakie będą związane z jej pomyślnem załatwieniem; pozostaje wiele jeszcze innych kwestji. A jakiegokolwiek będzie rozwiązanie spornych punktów, nie zadowolni ono tych żywiołów po stronie ukraińskiej, które dążą do podziału Galicji na zachodnią i wschodnią; nie zadowolni również i tych po stronie polskiej, które w walce bezwzględnej z żywiołem ruskim widzą najrozsunniejszą myśl polityczną.

W każdym razie dobrze się stało, że reformę przeprowadzono. Zbliży ona chwilę ugody, stwarza mosty do porozumienia a, co najważniejsze, pozwala uzdrowić gospodarkę krajową. Galicja, na którą spadło już tyle klęsk: polityka hr. Berchtolda, powódź zeszłoroczna, bezrobocie i drożyzna, przeżywała jeszcze

etyckie: żartobliwe z nią dialogi salonowe, roccowe intermezja, trubadurowe piosenki u jej „okienka“, ballady o „zacnym królu“, o paziu i rycerzach i potem śpiewa heinowskie „suity liryczne“, aż gdy zapatrzy się w te wszystkie widoki, wsłucha w te wszystkie dźwięki własnej „gitary“, — szepce smutnie: „już odświeżony wiosny mej i doli zaduszny dzień...“

Znajdował często miłe dla siebie dźwięki u różnych pieśniarzy tam, w Europie. Tłómaczył Rückerta, Uhlanda, Kretzera, Samaina, Bérangera, Maeterlincka, Richepina, Sully-Prudhomme'a, Lorisa, Baumbacha, Bierbauma, Presbera. W przerwach pisał dziesiątki, setki artykułów. Późno w noc mnożą się gęsto zapisane kartki dla dziennika lub tygodnika. Potem chwila odpoczynku. I oto znowu czepia się uparta piosenka: „Był sobie paż. O takich już dzisiejsze damy nie śnią!...“

Jan Lorentowicz.

w dodatku bardzo silny kryzys, z powodu niezalawienia od paru lat budżetu, wskutek obstrukcji ruskiej, co groziło autonomji krajowej, stawiając przed oczy widmo c.-k. komisarza i rządów absolutystycznych. Tem większe zaś zadowolenie ogarnia wszystkich, gdy się pomyśli, ile przeszkód trzeba było po drodze obalić, żeby reformę doprowadzić do mety. Wszystko się jak gdyby sprzyściło, aby reformie stanąć na drodze: i jezuickie podstępny Abrahamiczka, którego zapewne wiadomość o ostatecznym sankcjonowaniu reformy przyprawi o żółtaczkę, i zacietrzewienie ukraińców, którzy gotowi byli co chwila zerwać układy z powodu pierwszego lepszego drobiazgu, niepomni ile zyskują, i veto biskupów rzymsko-katolickich, którzy wówczas dopiero przypomniał sobie o swych obowiązkach obywatelskich, gdy chodziło o obalenie reformy, a których nigdy się nie widziało przy twórczej pracy, i wiele innych czynników. Nawet dzikie pretensje Niemców, którzy, otrzymawszy jeden mandat z Białej (bez żadnej słuszności, gdyż Niemcy nie są w Galicji żywiołem krajowym), dopominali się o drugi, grożąc, że w przeciwnym razie udaremnią sankcję cesarską na reformę wyborczą, gotowe były stać się w ostatniej chwili poważną przeszkodą. Wszystkie szkopyły jednak ominięto: reforma wyborcza, o której się mówi od lat 10 niemal, stała się faktem.

Z powodu tego składano życzenia... Bobrzyńskiemu. I słusznie, gdyż jego to projekt, swego czasu obalony przez biskupów, z bardzo małymi modyfikacjami obecnie wszedł w życie. Co zaś najzabawniejsze, wszystkie te zmiany poszły w przeciwnym kierunku, niż sobie tego życzyli politycy w infulach. To też konserwatyści krakowscy (stańczycy), których rok temu pomawiano o zdradę interesów kościoła za popieranie projektu Bobrzyńskiego, dziś pomścili się na biskupach w pełnej subtelnej ironji deklaracji, jaką złożyli w komisji reformy wyborczej przez usta posła Hupki. W deklaracji tej ubolewają oni między innymi, że przez zniesienie kurji proboszczowskiej (czyli średniej własności), która miała być ostoją katolicyzmu, oraz przez zapewnienie przewagi mandatom z powszechnego głosowania nad mandatami kurjalnemi, reforma nabrała jeszcze więcej cech radykalizmu, którego tak się obawiali biskupi. Biskupów położenie jest rzeczywiście niemiłe, lecz, wobec wyraźnych instrukcji, idących z Wiednia, wypada robić dobrą minę przy złej grze.

Najbliższe wybory sejmowe, które zapewne odbędą się już na wiosnę, zmieniają zupełnie fizjognomję sejmu. Szczególnie ciekawie zapowiada się walka w kurjach wiejskich powszechnego głosowania, wobec rozłamu u ludowców, z których jedni (stąpińscy) pójdą zapewne ręką w rękę z socjalistami, drudzy (długoszowcy) oprą się o wszechpolaków.

Bez względu jednak na wszelkie horoskopy wyborcze, z doprowadzenia reformy do skutku cięszyc się wypada. Gniew i pogroźki „Now. Wriemi“ i całej rosyjskiej prasy nacjonalistycznej jest jednym dowodem więcej, że porozumienie Polaków z Rusinami leży w naszym jaknajszerszym rozumianym interesie. Zaspokojenia politycznych żądań „przeklętych mazepińców“, którzy oddawna nacjonalizmowi rosyjskiemu byli solą w oku, możemy sobie pozwolić.

W świetle tych faktów tem gorzej się przedstawia polityka partji, które dążyły do zduszenia żywiołu ukraińskiego, posługując się ruchem moskalofilskim. Ruch ten wybujał też szeroko, czego



dowodem odbyty w początkach lutego zjazd działaczy staroruskich we Lwowie. Zjazd ten odbywał się przy akompaniamencie szyb tłuczonych, oraz krzyków i gwizdania młodzieży polskiej i ukraińskiej, a pod osłoną policji. Poglądy na tę sprawę były zresztą bardzo różnolite. Ten restaurator polak, który urządził u siebie bankiet moskalofilski, a przybyłej doń deputacji młodzieży oświadczył, że „choć żyjemy niby (sic) w Polsce“, to on przede wszystkim pamięta, że jest kupcem austriackim i dlatego sałę na bankiet daje, miał widać swój specyficzny pogląd na tę sprawę, który podziwiać należy, nawet z punktu widzenia państwowo-austriackiego.

Na brak zaburzeń i demonstracji ulicznych w tym czasie uskarżać się trudno. Najwięcej wrzawy narobiły hece antysemitki, a bezpośrednio do nich powód dał przyjazd z odczytami redaktora „Hacefiry“, Sokołowa. Do rozděcia całej sprawy przyczyniło się w znacznym stopniu galicyjskie plotkarstwo małomiasteczkowe. Powiedziano więc o Sokołowie: 1) że jest litwakiem (co jest niezgodne z prawdą); 2) że miał się wyrazić, iż Polska jest trupem, który kopać należy. Każdy, obeznany z naszą publicystyką, wie dobrze, iż tę ostatnią sentencję wygłosił kiedyś w Warszawie organ socjalno-demokratyczny, co stało się punktem wyjścia dla kampanji paryskiej Unslichta. Ludzie jednak, którzy wiedzą, gdzie dzwonią, lecz nie wiedzą w którym kościele, jęli zapewniać, że to Sokołow jest autorem owego zdania i za to go bojkotować należy. Inni poszli dalej i dowodzili w prasie, że Sokołow owo zdanie wygłosił nie dawniej, lecz teraz na odczycie w Nowym Sączu, wobec czego policja nie powinna pozwalać na dalsze prowokacje, wydalać Sokołowa z Galicji. Zdrowy rozsądek wprawdzie mówił, że przypisywanie Sokołowowi tych słów nie jest na niczem oparte, raz dla tego, że w odczycie mówiono o stosunkach żydów w Palestynie i zajmowano się kwestją, czy używać tam żargonu, czy też języka niemieckiego, a więc kwestją czysto lokalną i o polsko-żydowskie stosunki nie potrącającą, a następnie dlatego, ponieważ, wskutek awantury, jaka się odbyła przed odczytem nowosądeckim, a w rezultacie której usiłujących rozbić zebranie chrześcijan sjonisci wyparli się z sali, nikt z chrześcijan nie był obecny na odczycie i nie mógł eo ipso wiedzieć, co tam mówiono.

Do antysemitycznych zaburzeń jednak doszło, co jest rzeczą ubolewania godną, zwłaszcza że żydzi galicyjscy przeważnie dobrze się żyli i zasymilowali ze społeczeństwem polskim w Galicji, a sjonizm na masy nie ma wielkiego wpływu. Atmosfera antysemityzmu była jednak oddawna przez żywioły ultrakatolickie urabiana, a żywiołów, pochopnych do przeniesienia walk rasowych na grunt galicyjski, nie brak. Stare dewotki ze Związku niewiast katolickich, sodalisi marjańscy, studenci-rolnicy, mający opinie najreakcyjniejszych i najbardziej usposobionych do bałagulskich scen ulicznych—wszyscy zebrali się do „wyświecania“ Sokołowa z Galicji. Cel ten w znacznym stopniu został osiągnięty.

Akcja przeciw odczytom Sokołowa rozpoczęła się w Krakowie, gdzie udaremnilo oddanie dla wygłoszenia odczytu sali Starego Teatru, i odczyt odbył się bez przeszkód w lokalu jednego z żydowskich stowarzyszeń akademickich. Po Krakowie przyszła kolej na prowincję, która reagowała o wiele gwałtowniej. O ile w Krakowie chęć wywołania demonstracji była usprawiedliwiona poniekąd przynajmniej obawą, co kryć się może w tytule odczytu

„O samodzielności żydów“ i czy prelegent nie poruzy kwestji bojkotu żydów w Królestwie, o tyle w Nowym Sączu wobec tego, że afisz wyraźnie zapowiadał odczyt o stosunkach w Palestynie, oburzenie, podsycane sztucznie przez czynniki reakcyjne, zdumienie tylko wywołać może. A jednak zmobilizowano znaczną część ludności chrześcijańskiej pod hasłem walki z prowokacją „litwackich“ prelegentów, i doszło do zaburzeń. Sjonisci, znalazłszy się w większości, wyparli demonstrantów z sali. Chcąc umożliwić sobie dalszą serję odczytów, Sokołow pośpieszył z obszernymi wyjaśnieniami w prasie, dowodząc niesłuszności inkryminowania mu wyżej wspomnianych słów o Polsce, jak również zaznaczając, że na ostatnim kongresie sjonistów zajął stanowisko przychylnie względem najdalej idących żądań politycznych narodu polskiego, przyczem powołał się na swą mowę, wtedy wypowiedzianą.

Niewiele to wszystko pomogło. W Tarnowie wybito wszystkie szyby w lokalu, gdzie się odbywał odczyt, we Lwowie zaś przyszło do jaknajbardziej jaskrawych demonstracji. Wprawdzie do odczytu publicznego tam nie doszło, gdyż policja go zabroniła, jednak przyszło do starć ulicznych pomiędzy studentami-chrześcijanami a żydami, które się przez kilka dni ciągnęły, wytwarzając przygnębiającą atmosferę.

Rozbudzanie waśni narodowościowych jest w rękach pewnych stronnictw tylko środkiem do odwracania uwagi od ważniejszych zagadnień, zarówno natury zewnętrznej, jak i wewnętrznej. To też szerokie warstwy ludności nie brały w nich wcale udziału. Co do psychiki tych warstw, zwykle przeważała opinia, że są one nierewolucyjne i do żadnej akcji wybuchowej nakłonić się nie dadzą. Uskarżali się na to między innymi przywódcy stronnictwa P. P. S. D. na ostatnim krakowskim kongresie, ubolewając, że sprawa reformy wyborczej nie zdołała zagrzać mas ludowych, bez których udziału i wpływu rozegrał się ostatni akt tej sprawy. Ta opinia była tak powszechną, że lekceważono w czasach ostatnich wszelkie zapewnienia, iż niepodobna zostać dłużej obojętnym wobec następstw kryzysu ekonomicznego i trzeba im zaradzić, bo inaczej lud sam przemówi. Rząd z tych zapewnień nic sobie nie robił, uważając, że to są zwykle wiecowe frazesy i że ta broń ze starego arsenału środków agitacyjnych dawno już stępsiała. I trzeba było dopiero, aby lud wyszedł na ulicę, zająwszy groźną postawę, aby zrozumiano, że niepodobna głodnego i bezrobotnego tłumu karmić wciąż tylko obietnicami. Rozruchy trzydniowe we Lwowie (od 10 do 12 lutego), których istotne znaczenie osłabione nieco zostało przez wmieszanie się gromady podejrzanych indywiduów i „batiarów“ lwowskich, wykazały, że niezawsze rachować można na bezwzględny spokój tych warstw, na których skórze odbyły się najsilniej wypadki roku ostatniego. Na razie zastosowano paljatywy i tem powstrzymano rozruchy. Przypuszczać należy, że ludność robotnicza da wyraz swemu niezadowoleniu przy najbliższych wyborach sejmowych, a to pomimo bardzo niedoskonałej ordynacji wyborczej.

J. Krzesławski.



## Z Francji i o Francji.

Eugienjusz Fournière.

Paryż, w lutym.

Niewielu pewno czytelników znało ze słyszenia i czytania Eugienjusza Fournière'a. Parę jego książek można było spotkać tu i owdzie w czytelnich polskich. Gdzieś tam też sprawozdanie z tego czy owego zbioru szkiców społecznych, przypadkowo spadłego na stolik sprawozdawcy. Chciałbym tę lukę w wiadomości i pamięci czytelnika polskiego zapłacić. Droga życia Fournière'a zamknięta; pisać już nie będzie. Raz jeden powie czytelnikowi polskiemu: *dzień dobry* i w następnej zaraz chwili: *dobranoc*, — tak mało natrętny gość powinien być przyjęty bez odrazy. Tem więcej, że to gość bardzo miły, uśmiechnięty, optymistą.

Przed kilku dniami ze zwykłym rytuałem pochowano prochy Fournière'a na Père-Lachaise. O godzinie 3-ej po południu zebrało się kilkaset osób, delegacji urzędowych szkół, gdzie zmarły uczył, *Arts et Metiers* i *Ecols Polytechnique* (tu i tam E. Fournière wykładał *Historję Pracy*), redakcje pism socjalistycznych, do których pisywał, Wielki Wschód Francji, ile że był masonem, deputowani, paru senatorów, trochę cudzoziemców, wielu robotników. Spalono Fournière'a i w ciągu godziny, której wymaga ta procedura, wygłaszano mowy. Kilkanaście mów krótszych i dłuższych, z mową Jaurès'a na końcu, jak przystało i jak bywa zawsze, kiedy Jaurès mówi nie sam jeden tylko. Chwalono Fournière'a obficie. Chwalili wszyscy: dziennikarze, pedagodzy, politycy. Potem zamurowano prochy, w kasetce umieszczone, i ciekawi będą mogli wśród tysięcy odszukać — nazwisko Fournière'a.

Zacny to był człowiek i zadziwiający. Z robotniczej pochodził rodziny i sam był robotnikiem z młodu, złotnikiem. Potem był aktorem, później został socjalistą. Guesde go zabrał na zjazd robotniczy do Marsylii 1879 r., gdzie proklamował zasadę *walki klas* przeciwko Louis Blanc'owi i skąd Fournière powrócił do Paryża przekonany Guesdystą, a więc marksistą w duchu socjalizmu niemieckiego. To był moment silny, decydujący o jego rozwoju intelektualnym. Silny, ale nie jedyny. Później spotkał się z Benoît Malon'em, szlachetnym marzycielem, moralistą, który, gdy z chłopów, z pasterzy wyszedł, w książkach swoich zawarł świeżość i naiwną bezpośredniość uczucia, objawienia społecznego. Socjalizm Guesde'a mówił: myśl, człowiecze! Z rzeczywistego układu stosunków społecznych, z żelaznej konieczności powstanie ustrój, na sprawiedliwości oparty. Co znaczy twoja wola, twoje chcenie radosne, twoje pragnienie wobec logiki faktów? A Malon wraz z utopistami, z całym socjalizmem francuskim starej daty mówił: kochaj — człowiecze! Pomóż, aby świat był inny, zabiegaj, pracuj, poświęcaj się, duszę dając za braci swoich.

Fournière w świadomości swojej powiązał te dwa momenty i socjalizm jego był nietylko nauką, był także — *religią*. Przeżywał socjalizm codziennie w ciągu lat trzydziestu. Wierzył głęboko, że się urzeczywistni przez spółdziałanie czynników obiektywnych i osobistych, przez układ stosunków społecznych

i przez świadomość człowieka, który będzie innym. Całe życie też Fournière'a było nieskończonym łańcuchem dni, w których pracował nad przeobrażeniem świadomości człowieka.

Agitator ulubiony całej Francji w czasach, gdy chłopci nie chcieli słuchać socjalistów i uciekali przed nimi, przymierając głodem, żyjąc się po drodze u mniej lub więcej gościnnych, u mniej lub więcej dostatnich stołów. Później w ciągu lat dziesięciu — redaktor drobnych pisemek w innych miejscowościach południa, na Korsyce, w Marsylii, prowadząc życie cygana w ciągu lat piętnastu, znajdował Fournière ukojenie w pracy nad sobą. Zadziwiająco zdobył naukę w ciągu tych lat włóczęgi. Talent przyniósł ze sobą na świat, werwę pisarską, wyobraźnię. Wyrobił sobie styl. Został jednym z najpierwszych publicystów partyjnych.

Sprawa Dreyfusa porwała go w wir swój: pisał, agitował, zdobył sobie imię podówczas, jako jeden z najczystszych dziennikarzy paryskich, jeden z najszczęśliwszych. Nie za pieniądze, nie za honory — służył tej sprawie. Ludzie wiedzieli, że wierzył w nią, że bronił krzywdy, że chciał uwolnić Francję od zmyru. Potem rząd radykalny mianował go profesorem w Szkole Politechnicznej ku oburzeniu nacjonalistów, rojalistów i militarystów; prędko zdobył przywiązanie słuchaczy: przyszłych oficerów i saperów uczył szacunku dla pracy ludzkiej, dla robotników, żołnierzy, budził w duszach specjalistów od militarystyki uczucia szlachetne, zapalał w nich iskrę nieśmiertelną. „W *Arts et Métiers*“ prowadził wykłady o „Związkach Zawodowych“, o „Prawodawstwie Pracy“, o „Ubezpieczeniach“. Uczył, tłumaczył, domagał się poprawy, był kochankiem syndykalizmu, nienawidził anarchji.

Benoît Malon powołał go do redakcji *Revue Socialiste*, którą prowadzili wspólnie. Po śmierci Malona Fournière prowadził ją na własną rękę. Wreszcie oddał stronnictwu socjalistycznemu. Zastąpił go wtedy na naczelnym miejscu Albert-Thomas, przedstawiciel nowego pokolenia. Nadchodziły nowsze czasy, już Fournière czuł się obcy. Czasy jakże odległe od snów utopijnych! Fournière stawał się coraz bardziej umiarkowany, ale wiernie pozostał przy sztandarze „zjednoczenia“.

Mówiliśmy już, że pisał wiele. Naliczyliśmy oddzielnie wydanych książek trzynaście. „Idealizm Społeczny“ (1898), „Indywidualizm“ (1907), „Prawodawstwo Pracy“ (1904), „Teorie Socjalistyczne od Babeufa do Proudhona“ (1904), „Źródła praktyczne Socjalizmu“ (1900), „Socjalizacja“ (1910) — wreszcie „Dzieje panowania Ludwika Filipa“ w wielkiej „Histoire Socialiste“ Jaurès'a — pewnie były najważniejsze. Napisał też utopję: „U naszych wnuków“ (1900). Mnóstwo jego artykułów mieszczą roczniki radykalnej *Depeche de Toulouse*. Był też dyrektorem „Szkoły Dziennikarstwa“, w której nie jeden uczył się dziennikarstwa polski w Paryżu.

Kiedy u schyłku życia (umierając, Fournière liczył zaledwie lat pięćdziesiąt siedem), pytano Fournière'a „co to jest socjalizm?“, odpowiadał: „jest to stawanie się człowieka lepszym przez pracę bezustanną wszystkich“; nawoływał, aby „daleki ideał doskonałości sprowadzić na ziemię i zaszczerpić go w duszy robotnika, któremu potrzebna jest cnota, poświęcenie, a tych wysokich wartości nie należy marnotrawić w imię snu o jakimś rajku wschodnim...“ „Socjalizm będzie taki, jakim być może i powinien: stałem i cią-



głem zbliżaniem się ideału wolności i równości dla wszystkich, bezustannym postępowaniem *porządku* w społeczeństwie“. Można zapytać: Czy Fournière był jeszcze socjalistą? Czy trzeba być socjalistą, aby wyznawać takie prawdy. Wystarczy być radykałem, poprosu wyznawcą Augusta Comte'a.

Przychodziła starość. Tak się górnice życie zaczynało. Tak prosto układały się figury geometryczne rozwoju i przyszłości na zjeździe w Marsylii przed trzydziestu pięciu laty, kiedy to Jules Guesde detronizował i wyklinał Louis Blanc'a, Milleranda, Viviani'ego i innych podobnych. Do *Revue Socialiste* wchodził ludźmi nowi, co „nie znali Józefa i braci jego“. Rozwalało się pokolenie Guesde'a i francuskich marksistów. Dworowali sobie trochę z idealizmu, z entuzjazmu, z łzawej (ale czynnej) dobroci „syna“ Benoît Malona.

Innego typu był to człowiek — Fournière. Wyglądał jak *apostol*: nosił długie kruczce włosy, twarz miał bladą, a w tej twarzy świeciły się wielkie, dobre oczy; świeciły dziwnym nieziemskim blaskiem. Socjalizm polityczny dzisiejszy mało już ma apostołów (na Zachodzie): potrzebuje urzędników, organizatorów w wielkim stylu, niekiedy już i mężów stanu. Fournière reprezentował „okres przedpotopowy“, ściśle i pięknie zakreślony, jak stary sztych, przechowany z czasów, gdy nad nim z życia wyczarowanym płąkały dwa pokolenia. Był także Samarytaninem: współczuł, zabiegał, pomagał. Nie rozumiał doktryny swojej jako systematu politycznego, który gromadził koło siebie wyznawców z tytułu ich tak czy inaczej pojętego *interesu społecznego czy klasowego*. To była jego *wiara*, jaką chrześcijaństwo było dla świętego Hieronima albo Jana Złotoustego. Święty Hieronim mawiał: „bogacz jest złodziej albo syn złodzieja“. Św. Jan Złotousty pouczał że „chrześcijanin nie powinien być kupcem“. I ci ojcowie święci żyli wedle wiary swojej.

Fournière przeżywał swój socjalizm. Nie było dla niego rozdziewu pomiędzy myślą a czynem. Przerazali go socjaliści miljonerzy, synowie bankierów i landlordów, mieszkający w pałacach, wyjeżdżający w samochodach. On sam, już profesor w *Arts et Metiers*, profesor w *Szkole Politechnicznej* — wracał z wykładów, z mityngów, z posiedzeń partyjnych i redakcyjnych — na galerji tramwaju, kolejką podziemną, kombinacjami kilku tramwajów w zacisze podmiejskie Arcueil-Cachan, gdzie mieszkał z rodziną. Odwiedzał chorych towarzyszy, wspomagał, gdy mógł, gdy była po temu potrzeba. Wyrozumiały był dla czasów, dla zarozumiałych parwenjuszów umysłowych, dla krewkich i nieliczących się ze słowem syndykalistów. Miał zawsze uśmiech na ustach, pogodny, choć niekiedy i złośliwy, uśmiech przebaczenia. Przyznawali to i ci, którzy w wiecznej z nim żyli kłótni. A ci, co go znali dawno, co pamiętali jeszcze czasy heroiczne socjalizmu francuskiego, mówili: „święty“. I jeden z tych — Gustaw Rouanet — zaliczył go po śmierci do tych pięknych i świętych charakterów, które, jak Benoît Malon, jak Luis Michel, nazawsze pozostaną ozdobą i chwałą francuskiej klasy robotniczej.

Stanisław Posner.

## Z cyklu „Symbole“

### Pustynia.

*Pustynia w koło, pod skrzydłami ciszy  
Tęsknicą serce zapłakano wdowie...  
Zawołaj, może echo Cię usłyszy!  
Rzuć hasło w przestrzeń, może kto odpowie?*

*Opadły niebo jako smutki sępy,  
Jak węże dłużą się śród skał parowy...  
Z bezbrzeżnej piasku pustynnego kępy  
Wstał, rzucił w przestrzeń stary krzyk bojowy;*

*Krzyk, którym wstrząsał serca w dniach młodości,  
Jak huraganem, krusząc duchów przedział...  
I nagle, w dali, król pustynnych włości,  
Samotnik także, lew mu odpowiedział:*

*Tym rykiem boju, którym nieskończenie  
Grzmiał tyle razy... I jak strzała z procy  
Przecinał twardo jego ryk przestrzenie  
I mówił sercu temu: trza Ci mocy!..*

Józef Stanisław Wierzbicki.

## Na marginesie.

Skończyły się amory Endecji z Realizmem. Po paru zaledwie miodowych miesiącach nastąpił długi okres dąsów. Po dąsach przyszły ciche, zjadliwe uwagi. Po cichych uwagach — głośnie docinki. Aż wreszcie zawrzała najpospolitszy rechwach kłótni małżeńskiej.

Pode drzwiami politycznego stadła gawiedź się zbiera, ciekawa, rychło-li rozpocznie się tłuczenie porcelany i łamanie stołków.

— Słychać już wstęp: —  
— Tyś pierwszy zaczął!  
— Nieprawda, tyś zaczął!  
— Tak? A kto flirtował z bogatymi żydówkami?... Co? Zachciało mu się oko robić do „Nowej Gazety“!  
— Już bądź ty lepiej cicho. Twoje sprawy gorsze.

— Co takiego? Co takiego? Moje sprawy?  
— A bałamucenie księży...  
Zdębiała na takie dictum „Gazeta Warszawska“. Przez chwilę tchu złapać nie mogła, taka ją ogarnęła pasja. Wreszcie obrzuciła „Słowo“ najpogardliwszym spojrzeniem i odwróciła się plecami.

\* \* \*

Wobec tej kłótni „Kurjer Litewski“ znalazł się w sytuacji, że... nie daj, Boże.

Pomyślcie tylko: mieć w jednym spółkowem ciele dwie w dartego orła siedzące dusze... Przyjemność! Krakusowy smok, polknąwszy nadzianego siarką barana, nie czuł zapewne większego we wnętrznościach rozgardjaszu.

— Wody! — ryknął.



Wnet połały się artykuły.

Czytamy w nich, że właściwie... nic, głupstwo, wszystko w porządku. Spory są, ale tam, gdzieś, daleko—aż w Galicji.

Bobrzyński?... Głabiński?...

— „Poco przenosić na nasz grunt *zagraniczne* waśnie“?

Niby racja. Poco?

Bieda tylko, że niektóre z onych „zagranicznych“ waśni wcale nie czekają, by je ktoś przeniósł. Same się jakoś przenoszą.

Oczywiście, nie wszystkie.

Np., waśni lordów angielskich z angielskimi liberałami, chwalić Boga, nie przeniosła się. Ani waśni francuskich klerykałów z francuskimi masonami. Ani waśni październikowców prawych z nieprawymi...

I choć publicystyka polska przy każdej takiej awanturze rwała sobie wzajem spencerki, czyniła to tak, ot — ...w braku laku.

Tylko te nieszczęsne waśnie galicyjskie.

Ale co począć! Kiedy jednak, choć zagraniczne, tak bardzo nas roznamiętniają? I to nawet tych, co pragnęliby roznamiętnić się wyłącznie monopolem zagadnień, preparowanych nad Newą.

Jednakże afektów nakazywać sobie nie można. Prędzej czy później, wybuchną one w całej swojej nagiej prawdzie i okażą duszę czasem gorszą, czasem lepszą, niż się zdawało.

Oto np. zdawało się, że po prawicy mamy już tylko wierzące się manekiny, które można dowolnie ustawiać w zgodnych lub sprzecznych pozach, wedle kombinacji „polityki realnej“.

Aliści wybuchła raptem walka stańczyków krakowskich z endekami lwowskimi i teje samej chwili warszawskie „Słowo“ pożarło się z „Gazetą Warszawską“, a „Kurjer Litewski“ dostał boleści.

Kogo martwi to zjawisko?

Nas bynajmniej.

Dostrzegamy w niem przejaw mocy; przejaw tej potężnej więzi, wobec której najętsze kordony — to jeno nitki liliputów.

Wytykając przeróżne grzechy konserwatyzmowi polskiemu, „Gazeta Warszawska“ znajduje, że jest on za mało... konserwatywny.

„Słowo“ spojrzalo na „Czas“, „Czas“ na „Słowo“... Co począć z tym fantem, nie wiedzą. Prędzejby się śmierci spodziewały, niż podobnego zarzutu ze strony — demokracji.

Bo dla „Czasu“ i dla „Słowa“ endecja to wciąż jeszcze demokracja. Ba! i jaka...

Rozwiczrzona, radykalna.

Nie zauważyły, że wprawdzie radykalną pozostała, ale się obliczem zwróciła w tę stronę, z której kilkanaście lat temu miała coś zupełnie innego. Był to zresztą manewr, uczyniony nietylko przez polskich „national-liberałów“. Wogóle nacjonalizm stał się w całej Europie zdemokratyzowanym, zradykalizowanym konserwatyzmem.

Tak, panowie zachowawcy, przyszła na was ciężka chwila. Po konserwatyzmie hrabskim, konserwatyzm ekonomiczny do głosu przychodzi. Posłuchajcie

tylko, jak często dziś hakatyzm zarzuca junkrom pruskim sprzeniewierzenie się tradycjom narodowym. Albo weźcie takiego Puryszkiwicza i porównajcie go z redaktorem „Mosk. Wiedom.“, ks. Mieszczerkim...

Temu ostatniemu nacjonałiści rosyjscy też wytykają, że jest nie dość konserwatywny. Gdy zaś proszono niedawno jednego z nich, by zarzut umotywował, odrzec miał krótko i bez namysłu:

— Za mało chamstwa.

Skargi takiej nie usłyszymy w Wilnie.

Mamy tu na szczęście „Gazetę Codzienną“, która niczego nie ma za mało. Wszystkiego potrochu, w sam raz.

Bo na Litwie ekonom jeszcze głosu nie zabiera. Tu raczej organista czuje, że ma coś do wyłonienia ze swego intelektu. A zawsze to potrosze i artysta i duchowna osoba, więc w umiarkowaniu cnotę widzi.

Umiarkowania tego dano nam świeży dowód.

„Gazeta“ wypowiada walnę domom rozpusty i radzi...

usunąć „te rozsadniaki zepsucia z centrum miasta, gdzie się obecnie gnieźdzą, na przedmieścia“.

To się nazywa utrafić w sedno zła wedle metod, obcych wszelkim krańcówościom.

Tylko co organowi p. Obsta zawiniły przedmieścia? Czemuz je częstuje rosadnikami zepsucia?..

W sprawie tej właśnie jedno z przedmieść zwróciło się do nas ze skargą sążnistą na „Gazetę Codzienną“. Skarga owa jest poniekąd parafrazą znanego operetkowego westchnienia:

— Ja ją czytałem, a ona mnie shańbiła...

Są jednak i zadowoleni z projektu. Jakiś właściciel domu na trakcie kalwaryjskim powiada, że to mu ogromnie interesy poprawi.

A znów pewien starszy pan, zamieszkujący jedną z najnobliwszych ulic, cieszy się, że nie będzie potrzebował kłać własnego gniazda, gdzie zawsze można się natknąć na kogoś znajomego, no i... mała rzecz, a wstyd...

Nie, stanowczo nasi dwugroszowi moralisci niczego nie mają ani za dużo, ani za mało.

Behra.

## Dokoła sceny.

Pragnąc widocznie udowodnić, że są na świecie starzejące się posągi, sięgnął teatr nasz do wykopalisk włoskich i zaprezentował Wilnu „Żywy posąg“ Teobalda Cigoni'ego.

Może właśnie dlatego, że pół wieku temu miał to być posąg żywy, niesie już dziś od niego zapachem trupim. Posągi martwe są na czas wytrzymałszy. W każdym razie przekonaliśmy się, że dzieło dramaturga włoskiego nie tyle podobne jest do posągu, ile do figury woskowej z muzeum-panopticum. Aż dziw bierze, gdy się wspomni, że stosunkowo tak jeszcze niedawno podobne wyroby uchodzić mogły za dzieła sztuki, wznuszać do łez publiczność i podniecać zapał artystów.

Dla nas jest to... ot, cierpiąca na przewlekłą melodramatyczność przeróbka powieści dla panien



służących. A przecież ongi występowały się w niej gwiazdy scen pierwszorzędných; rolą tytułową podbiły one tłumy i zapisywały się mocno w pamięci smakoszków.

Sądze, że nawet koncertowa gra dawnych interpretatorek niewieleby poradziła na sceptycyzm obecnego pokolenia. Lecz już i takiej gry spodziewać się teraz nie można. Artysta, niemniej od publiczności, jest produktem swojego czasu. O ile więc aktor (*resp.* aktorka) nie zateęchl w rzemiośle, trudno mu zapalić się do efemerydy przebrzmiałego okresu. Wcale też się nie dziwie, że p. Bończa w posąg swój życia nie tchnęła, a obdarzając go zdolnością ruszania się i mówienia, zaakcentowała jedynie, że jest to właściwie już tylko—manekin.

Mimo wszystko, sztuka Cigoni'ego byłaby jeszcze wcale odpowiednia na popołudniówki (o ile repertuar niczego lepszego nie nastęrczy); może ona konkurować z produkcjami kinematografów, jako rzecz sensacyjnie efektowna, a literacko bezpretensjonalna.

Cnoty tej nie posiada „*Bajka o wilku*“ Molnara. Zręczny zongler teatralny, „epatujący“ snobów rolami, niby głęboko pomyślanemi, które interesują jednak tylko taniemi pozorami treści,—nie rezygnuje ze stanowiska poważnego dramaturga, ba! psychologa nawet. Spostrzeżenia trafne, ale nie nowe, nie własne, ilustruje utworami scenicznymi, przypominającami w pewnej mierze technikę symbolistów nowocześniejszych. (Że zacytujemy tu choćby znanego Wilnu „*Djabła*“). Symbolizm to wszelako gruby, węgierski. Wszelki ślad subtelności wywiła zeń filuterność zbyt pewnego siebie dorobkiewicza.

W owej „*Bajce o wilku*“ bierze się Molnar dorewidowania duszy kobiecej. Wprawdzie medjum wyszukał sobie arcy pospolite; ale też i niebardzo delikatnemi łapskami grzebie w jego sercu. I ostatecznie nawet nie wiemy, czy do serca tego wogóle warto było zaglądać. Jeśli tam bowiem drzemały jakieś dziewczęce marzenia, to spały one tak mocno, że oknać je potrafił tylko ordynarnie zazdrosny mąż—te tryk swą chorobliwie głupią dokuczliwość.

To jedna jedyna postać, którą autor odmalował ciekawie, realnie. Właściwie ledwie podmalował. Już bowiem w drugim akcie figura owego męża gubi psychologiczną konsekwencję. Tylko więc w pierwszym akcie można z niej coś żywego uczynić, co też powiodło się p. Brylińskiemu bardzo dobrze. Miał rolę bohaterki wykonała p. Mostowska. Wykonała—i tyle. Przedmiotem jej wskrzeszonych marzeń był p. Orliński. Rola to, z której może i można coś zrobić. Trudno jednak powiedzieć, by nią nas p. Orliński zafrapował. Znamy jego kreacje bez porównania ciekawsze.

Wreszcie dla dźwignięcia repertuaru na nieco wyższy poziom, przybyła „*Hrabina Oczko*“ Schönthana. Autor „*Odrodzenia*“ tym razem jednak nie bardzo zawstydził Molnara. Sztuka jego byłaby pewno bardzo miła, jako libretto do operetki Straussa; samodzielnie jednak przedstawia coś nietyle dowcipnego, ile śmiesznie... nudnego.

P. Mostowska, grająca tu rolę tytułową, miała szereg momentów, przez które począł przeblyskiwać temperament sceniczny. Błyski te jednakże naogół pokrywa zwykłą, nienaturalną manjerą. Jest to maniera niebezpieczna: maniera dyletantyzmu, dająca się uleczyć tylko w twardym terminie pod silną dłoń wytrawnego reżysera. Wcale wdzięczny był p. Skąpski.

rc.

## PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY

Bronisława Ostrowska. „*Córka Wodnicy*“ baśń fantastyczna. Rysunkami ozdobiła Halinka Ostrowska.

Świat bajkowy syren, poezję i grozę dna morskigo snuje nam pióro znanej poetki.

Bajka to równie dla dzieci, jak i dla starszych czytelników.

Autorka najpewniej nie pisała z celem rozmyślnej klasyfikacji. Pisała duszą i sercem, — kto ją odczuje, utwór zrozumie, ten od pierwszych kart zaraz sprzęgnie się z rytmem uczuć i myśli twórczyni, dla słów jej i obrazów otworzy swą duszę.

Bujna fantazja poetki daje tu piękne tło, na którym rozgrywają się losy bohaterów, toczy się beznadziejna walka mieszkańców wyspy Otoczy z wszechwładnym morzem, które, gniewne i złośliwe, pędzi po piędźzi ziemię z pod stóp im zabiera. Próżno lud czyni objaty, najdroższe ofiary morzu znosi.

Mała Dziwa, córka syreny i człowieka, zesłana jako zakładnica z talizmanem morza na szyi — chwilowy spokój wyspie przynosi. Skazana jednak na połowiczne życie, ta córka morza i ziemi, tęskni do swego żywiołu i niebaczną na przepowiednie starej, biednej wdowy — wymyka się z pod straży czujnej i do morza uchodzi.

A przepowiednie te brzmiały: „Obudzi się w tobie serce ludzkie i—zapagniesz *ofiara krzywdy nagrodzić*. I cierpieć będziesz, aż cię z klątwy ludzkiej błogosławieństwo ludzkie wyzwoli“.

Typem ofiarnym jest tu młode pachole—Bożydar. Poświęcić się dla ludu swego—to jego marzenie. Jakże piękny jest moment, gdy dzieckiem jeszcze — oddaje kapłanom w dobrowolnej ofierze siebie i swą luteńkę z propozycją, by go morzu wydano dla przebłagania jego gniewu. Gdy wyrósł w młodziana, buduje skrzydła, które mają go zanieść ponad morzem do brzegów ziemi wysnioniej ładu stałego. I oto wznosi się nad morze ów pierwszy ptak—człowiek, by zbawienie ludowi swemu przynieść. Naturalnie nieuchronym tu—upadek jego w morze, a w następstwie ocalenie go przez Dziwę, której dusza dojrzała już do rozkoszy poświęcenia i ofiary.

Może najbardziej wycutym jest tu moment, gdy biedna syrena, złożwszy talizman na pierś Bożydara i tem go śmierci wyrwawszy, — zjawia się następnie na wyspie. I staje oto przed wzburzonym ludem, bezbronna i słaba, natomiast bardziej ludzka niż dotąd, a w oczach jej migota wyraz litościwej dobroci.

Tłum zaś, który niegdyś korzył się przed bezlitosną i obojętną, teraz — widząc ją sobie równą — szemrze:

— Tyś już nie bóstwo nasze, gdzie podziła talizman?—i na stos ją ciągnie.

Dotyka tu autorka szerszego, ogólnoludzkiego zagadnienia.

Naturalnie w porę zjawia się Bożydar, by Dziwę uchronić od zagłady, niesie wieść radosną o ziemi rodzinnej, gościnnej, co wzywa lud temi słowy:

„Nie czekają was tutaj skarby żadne prócz mnie. Ale w mej piersi znajdziecie wszystko. Dam wam żelazo, byście skiby swoje rozorali, dam wam ziarno na chleb i drzewo na domy. Dam wam len na odzienie i łąki dla trzód i owoce na posiłek i napój. ...Wszędzie przyjmie was pierś moja gościnna... I dam wam pracę. Znajdziecie u mnie ten święty spokój, co nad łanem zbożnym płynie. Bowiem jestem zie-



mia, ziarnu pracy gościnnie, z Bogiem przymierze człowieka czyniąca—*ziemia zbożna*“.

Więc płynie Bożydar ku tej ziemi na czele ludu swego, mając Dziwę umiłowaną przy boku:

„Woda niosła pokornie ich łodzie, *powietrze* rozdymało białe skrzydła żagli, a w dali, uśmiechnięta do nich *ogniem* słonecznym, czekała najmiłostwieszka Pani—*Ziemia*“.

Książkę, jak głosi wydanie, zdobą rysunki Halinki Ostrowskiej, córeczki autorki. Rysunki te przy całej swej syntetycznej prostocie, zdumiewają wprost pewnością linii, mówiąc o dużym talencie młodziutkiej artystki. Niemniej czynią czasem wrażenie korekty umysłu dojrzałego, co prowadził ręką niezwykłego dziecka, naginając bujną, twórczą fantazję młodej duszyczki. A stało się to ze szkoda istotnej, dziecięcej prostoty, czyniąc ją chwilami zbyt wyrozumowaną i skomplikowaną. Szkoda mi zaiste tego, tak bogato zapowiadającego się talentu; wołałabym widzieć go dojrzewającym w normalnych warunkach, nie zaś pędzonym w sztucznych cieplarniach przedwczesnej reklamy. Tak łatwo wpaść w tych warunkach w powierzchowne wirtuozostwo. Dusza dziecka winna dojrzewać w ciszy i spokoju.

Wacława Kiślaska.

Ignacy Dąbrowski. „*Zmierzchy*“. Nakł. J. Fiszera.

Warszawa 1913.

Znany autor „*Felki*“, „*Śmierci*“ i innych nowel, pisze stosunkowo niewiele, obdarzając rzadko społeczeństwo utworami swego pióra. To też każda nowa praca, nazwiskiem tem podpisana, budzi żywe zainteresowanie wraz z nadzieją artystycznych rozkoszy, coraz radszych niestety w dziedzinie beletrystycznej. „*Zmierzchy*“ nie zawiodły pokładanej w autorze nadziei. Subtelnej artystycznej rozkoszy dostarczy każdemu czytanie tej wytwornej, niewymownym czarem italskich uroków owianej powieści, będącej raczej przepiękną symfonią pożegnalną dwu serc przy zachodzącym słońcu ich miłości — miłości o wysokiej skali odczuć, wykwinu i szlachetności, dwójga artystów, którzy przeżyli z sobą jedną krótką niaprześnioną chwilę nadziejskich uniesień—a teraz żegnają się smutni lecz stanowczy, w przeświadczeniu, iż „*dla dusz, raz opętanych zarazą tworzenia, miłość jest tylko życiowym epizodem, który przynosi nasycenie lub ból, ale nigdy nie zabiera całej duszy*“...

Więc Ani Borska, wielka, światowa sława muzyczna, i Paweł Krzywiecki, głośny powieściopisarz, żegnają się mężnie w cudny poranek wiosenny w Alassio, gdzie w willi Loreley przeżyli tygodnie upojeń najwznioślejszych, *nad morzem „lekką mgłą niby gazą spowitem, poza którą jak przez białawość opalu przeświecały drgające kolory i blaski*“... Żegnają się z rozdarciem serc i łkaniem tłumionem. Ją uwozi od Medjolanu, express, na koncerty do Ljonu, Edimburga, Birmingham—on powraca do swych ukochanych równin mazowieckich, by tam w ciszy i spokoju wsi polskiej stworzyć wielkie, niespożyte arcydzieło. Pieśń miłości przerwana—tysiące mil ich rozdziela. Czy spotkają się jeszcze?...

Spotykają się po latach pięciu, nagle, niespodzianie, w tej samej międzynarodowej poczekalni w Medjolanie, gdzie do stóp Krzywieckiego upadła ongi „gałązka żółtej róży o lśniących rozstrzępionych listkach“, drżącą ręką Ani Borskiej na pożegnanie rzucona... Spotykają się, jak starzy, dobrzy przyjaciele.

le. On nie napisał wprawdzie zamierzonego dzieła „*bo do tego, widać, nietylko czasu wolnego potrzeba*“,—jest zato dziś zamożnym obywatelem, mężem bogatej dziedziczki, jadącym z Aix les Bains po żonę, bawiącą w Interlaken. Ona zerwała z estradą koncertową, żyje cicho w slicznej swej willi w Fiesole, skąd, z tarasów widok czarowny na całą Florencję i Toskanję. Sama z wierną Andream uprawia klomby różane w ogródku, podejmuje oddanych sobie przyjaciół z Europy, grywa wieczorami... Opowiadają swe dzieje z kulturalną swobodą i uprzejmością, póki nie rozdziela ich znów pociągi, uwożące w przeciwne strony świata. Żegnają się życzliwym uśmiechem—tym razem zapewne już na zawsze...

Więc czy warto było cudną pieśń miłości o tak wysokim djapazonie przerywać, czyniąc z niej całopalną ofiarę mirażowi sławy, kiedy epilogiem: *sfilistrzenie* Krzywieckiego i życie samotne, *poza sztuką* artystki z bożej łaski... Czy warto?... Czy się oboje nie przerachowali, i czy egoizm mężczyzny nie był i w tym wypadku przyczyną tragedii dumnego serca kobiecego które umiało milczeć i cierpieć bez skarży??... Niechaj nam to pytanie rozstrzygnie żółta róża, z gałązką rozstrzępionych, lśniących listków, wędnąca na kolejowym torze, w pyle i zapomnieniu...

E. Wielowieyska.

## PRASA POLSKA.

— „Prawda“, stwierdzając fakt, że stronnictwa, dotąd w Polsce działające, ulegają rozkładowi, występuje zarówno przeciw tym, którzy w owym zjawisku widzą zaćmienie ideałów, upadek ducha, jako też przeciw „sybarytom spokoju“, co cieszą się już nadzieją zapanowania bezwładem.

„Ślepcem trzeba być, ślepcem albo też człowiekiem niesumiennym, aby nie widzieć tego, że programy, dokoła których powstały nasze stronnictwa, zrodziły się w innej atmosferze, niżli ta, którą odychać zmuszeni jesteśmy obecnie. Programy te powoływały rzesze do życia w *pleinair'ze*, na jasnym słońcu, pod szerokim niebem. Były aktem wyjścia z podziemi na powierzchnię jawności. Wszystkie te programy były stemplowane pieczęcią wiary w siły ewolucyjne Rosji. Wszystkie były jak żagiel nadziei, nastawione pod wschodni rzeźwiący wiatr. Wszystkie miały skrzydła rozpięte do ewolucyjnego lotu. W oczach dwóch narodów ruszyły się z posad dzieje świata. Wierzono, że nadchodzi era wyrównania zobopólnych krzywd, zniewag i uroszczeń, wynagrodzenia uraz i żalów. Wierzono we wzajemność i dogłębnosć swych uczuć; wierzono we wzajemność swej dobrej woli.

A czemuż były programy partyjne, krystalizujące się podówczas, jeśli nie kwiatem, jeśli nie owocem tych uczuć?

Polska cała podała się wiarą swoją ku przyszłości narodu rosyjskiego. Po czterdziestu latach, zelała jej twarzą wobec Rosji ponurość. Pękły tamy głuchej odporności. Bez wolnej Polski niemasz wolnej Rosji: ten okrzyk zdawał się nieść zdrowie od Uralu do Wisły. Każdy obóz polski — to prawda — inaczej przedstawiał sobie przyszłość Rosji, ale wszystkie w granicach jej pomieszczały swoje zaufanie. Wszystkie miały rozwarłe ku niej ramiona i wyciągnięte po bratersku dłonie.

I trzeba-ż było właśnie, aby polaków, tak wiarą i zaufaniem obezwładnionych, dosięgły represje, jakich od lat czterdziestu nie pamiętano.

Nie była to zemsta Rosji, nie! To była zemsta rzeczywistości, a raczej tylko surowy wyrok jej... na nieoprawnych marzycieli“.

Skoro zaś runął fundament, paść musiały i skonstruowane na nim programy partyjne. To jednak nie



decyduje o dalszym kształtowaniu się polskiej myśli politycznej. Przytem zasada partyjności nie może ulec zgładzie.

„Dopóki jedni w gromadzie społecznej iść będą szybciej, niż drudzy; dopóki jedni iść będą naprzód, drudzy zaś będą się cofać: póty istnieć muszą rozmaite partie, póty społeczeństwo rozpadać się będzie na stronnictwa.

Te atoli stronnictwa, które w chwili obecnej, bądź na powierzchni życia, bądź pod jego powierzchnią się zarysowują, mieć będą rys osobliwej wspólnoty: oto wszystkie osiadą na wyłącznym narodowym gruncie. Każde zarwie rachuby swoje w granicach polskiej ziemi i — polskiej sprawy. Zniknie monopol pewnych stronnictw na patriotyzm, ale też, zarazem, znikną zwycięstwa partyjne, odnoszone nie nad inną partją, ale nad całym narodem. Znikną tryumfy Dmowskich, ale też niemożliwe staną się tryumfy poselskie... Jagiellów.”

Bowiem wzmocnić się musi świadomość, że ponad stronnictwami stoi „polskość bezpartyjna“, w imię której szerokie zastosowanie koordynacja poszczególnych stronnictw. Pierwszą próbę takiej koordynacji kilku naraz stronnictw dokoła wspólnej, niesłychanie doniosłej dla narodu akcji, dała nam w czasach ostatnich Galicja.

— Oczywiście mowa tu o uchwaleniu reformy sejmowej ordynacji wyborczej, tudzież ugodzie polsko-rusińskiej.

Akt ten cała prasa polska wita z żywym zadowoleniem.

„Czy dzień ten—powiada „Słowo”—będzie „historycznym“, jak go powszechnie nazywają, — to dopiero historia sama orzecze. Bywały chwile, na które społeczeństwo niewiele zwracało uwagi, a jednak okazywały się one płodnymi w następstwa pierwszej wagi. W każdym razie, dzień załatwienia w sejmie lwowskim reformy wyborczej na podstawie porozumienia z rusinami, jest niewątpliwie początkiem nowego okresu w życiu Galicji.”

Nierzadkie są jednak głosy, przewidujące, iż uгода obecna będzie tylko jednym z etapów walki, która przyczynnie na czas pewien, by następnie wybuchnąć znów gorętszym płomieniem.

„Siewców niezgody—powiada „Prawda”—niebrak ze stron obu—sądzimy jednak, że polscy działacze z obozu endecji, którzy zrobili sobie łatwą specjalność ze szczucia na rusinów jako na „odwiecznych“ i „nieprzejednanych“ wrogów polskości — zastanowią się przecież nad wartością tej roboty, słuchając choćby znamiennych bardzo odgłosów, jakie zgoda polsko-rusińska wywołała nad Nową i nad Szprewą.

I tu i tam pytano ugodę lwowską z jawnym niepokojem. I tu i tam różnym działaczom szowinistycznym niezmiernie zależało na tem, by polacy wiecznie żarli się z rusinami. Rewelacje red. Krysiaka o knowaniach hakaty w Galicji wskazują niezłomie, że niemcy pracowali nad jątrzeniem tej waśni równie gorliwie, jak działacze z obozu „Słowa Polskiego“. I, doprawdy, szczególnego doznajemy wrażenia, czytając na łamach „Gazety Warszawskiej“ relację z mowy Sejdy w sejmie pruskim, gdzie powiedziano wyraźnie, że „nie chodziło o sprowadzenie rusinów do Niemiec, lecz przedewszystkiem o sianie niezgody pomiędzy rusinami a polakami w Galicji“. Gdybyśmy chcieli stosować do wodzów endecji ich własną metodę polemiczną — tobyśmy tu mogli rzucić im na głowy zarzut, że byli w Galicji ślepem narzędziem w rękę hakaty — tudzież działaczy w rodzaju hr. Bobrinskija...

Lecz pospołu z gniewem uczuwamy wręcz politowanie dla publicystów „Gazety Warszawskiej“, zmuszonych teraz na tychże szpaltach, skąd padały hasła do wojny świętej z „hajdamactwem“—notować głosy prasy hakaścycznej, z której „przebijają wyraźny żal, że uгода przysła do skutku, i obawa iż może się skończyć walka rusińsko-polska“.

Tak pisała „Prawda“ tydzień temu. Po upływie tego czasu zdążyliśmy się przekonać, iż „działacze z obozu endecji, którzy zrobili sobie łatwą specjal-

ność ze szczucia na rusinów“—zgoła nie myślą zastanawiać się nad identycznością swej agitacji z widokami hakaty i nacjonalistów petersburskich. Przeciwnie, nadrabiają miną i, licząc widocznie na umysłową „potulność“ swej owczarni, szukają punktu wyjścia dla prowadzenia dalej chwilowo pszerwanej roboty.

## Z za kulis terroru i prowokacji.

Na skutek usilnych starań wice-ministra spraw wewnętrznych i dowódcy osobnego korpusu żandarmerji, Dżunkowskiego, otrzymano dymisję byłego naczelnika petersburskiego wydziału ochrony, generała Gerasimowa.

Nedawne to jeszcze czasy, gdy Gerasimow grał zupełnie wyjątkową rolę w ministerjum spraw wewnętrznych. Przy dyrektorze departamentu policji, Łopuchinie, Gerasimow zajmował skromne stanowisko naczelnika charkowskiego wydziału ochrony. Stojący w owym czasie na czele śledztwa politycznego Zubatow zwrócił uwagę na młodego oficera, i kiedy w Petersburgu zawakowało miejsce naczelnika ochrony, polecił na nie Gerasimowa.

Tu Gerasimow zaczął szybko zdobywać wpływy i powodzenie, a stało się to możliwym za sprawą Azefa. Wszedszy w stosunki z Azefem, Gerasimow skupił w swych rękach wszystkie nici śledztwa politycznego.

Petersburski wydział ochrony przeobraża się w taką instytucję, która staje się niedostępną kontroli nawet wyższej władzy; pomocnik Gerasimowa, Komisarow, urządza drukarnię wydawnictw pogromowych, sam zaś Gerasimow pragnie wpłynąć na politykę wewnętrzną i organizuje „związek narodu rosyjskiego“. Doktor Dubrowin i naczelnik petersburskiego wydziału ochrony to bracia sjamscy.

„Próby wyższych władz, sparaliżowania takiej działalności Gerasimowa—pisze „Wiecz. Wr.“—spotykają przeciwdziałanie w wyższych kołach petersburskich. Gerasimow otrzymuje przywilej składania raportów bezpośrednio prezesowi ministrów, a nawet dostaje się do wysokich kół, które zainteresowały się dziwną figurą pułkownika żandarmerji“.

Zamach na życie prezesa Rady ministrów, Stołypina, na wyspie Aptekarskiej na chwilę zachwiał karierę Gerasimowa; potrafił on jednak przekonać czynniki miarodajne, że zamach ten spełniony został nie przez socjalistów-rewolucionistów, o których postępowaniu posiada on najdokładniejsze dane, lecz przez „maksymalistów“, wśród których dopiero nawiązuje stosunki.

Jakoż udało mu się to w znacznej mierze; porozumiewszy się z wybitnym „maksymilistą“, Ryszem, zdołał on udaremnić zamach na Bank Państwa.

Jednakże od tej chwili gwiazda Gerasimowa zaczęła blednąć, a po zabójstwie Stołypina zgasła zupełnie: głównie przyczynił się do tego wice-minister spraw wewnętrznych Kurłow.

Gdy szefem żandarmerji został generał Dżunkowski, który oświadczył, iż potępia system tajnych współpracowników — zdrajców, dających informacje z kół rewolucyjnych, Gerasimow został uznany za zbytecznego i usunięty.

Badanie działalności Gerasimowa naprowadziło generała Dżunkowskiego na myśl dokonania rewizji



wydziałów ochrony; rewizję taką dokonano w petersburskim wydziale ochrony, a następstwem jej było usunięcie naczelnika ochrony von Kottena.

Generał Dżunkowski uznał nadto za potrzebne dokonać rewizji agentury specjalnej, istniejącej za granicą, a przeznaczonej do nadzoru nad zagranicznymi emigrantami.

Agientura ta również ma być zniesiona.

„Bliższe zaznajomienie się ze sprawami śledztwa politycznego w Rosji—pisze „Wiecz Wr.“—dowodło kierownikowi głównemu tego śledztwa, jak niedoskonały i potworny jest system, praktykowany wciągu długich lat i nieraz wytwarzający sztucznie kółka rewolucyjne, które potem uchylały się z pod nadzoru policji i powodowały dla niej niemało szkody“.

Srodki, przeprowadzone przez generała Dżunkowskiego, wywołały (według informacji „Wiecz Wr.“) wielki popłoch w swiatku ministerjum spraw wewnetrznych i korpusie żandarmów.

## KRONIKA.

### Jan Władysław Dawid.

Zmarł jeden z wybitniejszych i wytrwałych pracowników na niwie nauki polskiej—Jan Władysław Dawid. Do ostatniej chwili rozwijał on intensywną działalność naukową, był zwłaszcza niestrudzonym pionierem w nowej dziedzinie pedagogiki eksperymentalnej.

Jan Władysław Dawid urodził się w Lublinie w 1859 r. Po ukończeniu gimnazjum lubelskiego wstąpił na wydział prawny uniwersytetu warszawskiego, który ukończył w r. 1882. Zagrańcą w Lipsku i Halli studiował psychologię i pedagogikę.

Działalność publicystyczną i naukową rozpoczął zmarły od drukowania w „Prawdzie“, „Ateneum“ i „Przeglądzie pedagogicznym“ artykułów treści przeważnie psychologicznej. Rozprawą „O zarazie moralnej“, drukowanej w „Ateneum“ w r. 1886, zwrócił na siebie uwagę, poruszając z punktu widzenia widzenia pedagogiczno-społecznego zagadnienia, wymienione w tytule pracy.

Od r. 1890 redaguje Dawid „Przegląd pedagogiczny“, a w r. 1901 obejmuje redakcję „Głosu“, który reprezentował kierunek radykalny w programie społecznym.

Ostatnie lata życia poświęcił Dawid całkowicie działalności naukowej. We Lwowie, Krakowie i Warszawie wygłaszał odczyty z dziedziny psychologii i filozofji, organizował w Krakowie w r. z. instytut pedagogiczny, napisał kilka ciekawych rozpraw o Bergsonie i do ostatniej chwili prawie wykladał na Kursach naukowych.

Zmarły należał do tych działaczy, którzy wraz z Mahrburgiem i Nałkowskim przez szereg lat szerzyli wiedzę w Warszawie.

### Zgon Skałona.

Równocześnie prawie ze zmianą osób na kierujących stanowiskach w Petersburgu opróżniło się stanowisko generał-gubernatora warszawskiego. W d. 1 (14) b. m. zmarł na zamku warszawskim gen. Skalon, piastujący urząd naczelnika kraju od sierpnia 1905 r.

Generał-gubernatorstwo warszawskie jest posterunkiem nie tylko wojskowym i administracyjnym — jest także pierwszorzędą pozycją polityczną. Jakkolwiekby formalnie nie różniło się od innych podobnych w organizacji państwowej urzędów, faktycznie nie może przecież stracić charakteru politycznego zarządu Królestwem Polskiem, krajem o potężnej przeszłości historycznej i własnej indywidualności narodowej. Warunki składu wszystkich stosunków życia w Królestwie Polskiem są tak odrębne rodzajem i nastrojem i tak przejęte nawskroś zachodniemi cywilizacyjnym podłożem, że wszelkie teoretyczne stawianie „gubernji przywiślańskich“ w jednym rzędzie z innymi gubernjami imperjum i podporządkowywanie ich centralistycznej polityce ogólnopanstwowej, rozbijać się musi o naturalne przeszkody rzeczywistości. Każdorazowy generał-gubernator warszawski z samej natury rzeczy jest więc wielkorządcą terytorjum polskiego, podległego panowaniu Korony Rosyjskiej a zależność jego od administracji petersburskiej we wszystkich

sprawach, nie dających się podciągnąć pod ogólne zasady systemu pozostaje raczej formalną niż istotną. Pole dla samodzielnej inicjatywy wielkorządcy pozostanie zawsze bardzo rozległe a indywidualność jego zabarwia w wysokim stopniu cały charakter praktyki administracyjnej.

Zmiana więc wielkorządcy Królestwa wywołać musi zrozumiałe zainteresowanie w społeczeństwie polskiem.

### — Nasi „najszerdeczniejsi“.

W ostatnich numerach pism nacjonalistycznych ukazał się szereg artykułów, poświęconych sprawom Litwy i Białejrusi. „Nowoje Wremia“ domaga się wprowadzenia ziemstwa w guberni grodzieńskiej.

„Niechaj będzie bylejakie ziemstwo, zawsze lepsze, niż żadne“.

### — Chodzi widocznie o „kurje“.

„Głos Rusi“ umieszcza artykuł Soloniewicza, domagający się kurji narodowościowych w samorządach miejskich na Litwie, gdyż: „polacy, stanowiąc znikomą mniejszość, stanęli na czele samorządów krajowych i wyparli stamtąd rosjan“.

Soloniewicz nie wątpi, że nowy projekt nacjonalistyczny uzyska sankcję IV Dumi.

### — Upadek terroru politycznego.

Poczynając od r. 1905 corocznie wyznaczany jest pewien fundusz na wynagrodzenie dla policjantów i żandarmów, poszwankowanych przy pełnieniu obowiązków służbowych.

Do r. 1909 wynagrodzenie to wynosiło milion rubli rocznie.

W r. 1909 Duma zmniejszyła je do 500,000 rb., w r. 1910 do 250,000 rb., w r. 1911 do 150,000 rb.

Ta suma wyznaczona została na lata 1912 i 1913, jakkolwiek liczba policjantów i żandarmów poszwankowanych podczas napadów, zmniejszyła się bardzo, jak świadczą dane, zgromadzone przez ministerjum spraw wewnętrznych.

Ilość poszwankowanych wynosiła:

w r. 1906	760
— 1907	999
— 1908	509
— 1909	324
— 1910	196
— 1911	191
— 1912	126
— 1913	115

W porównaniu więc z r. 1906 ilość poszwankowanych policjantów w r. 1912 zmniejszyła się 6-krotnie.

Na 100 zabitych i ranionych osób prywatnych przypadło urzędników:

w r. 1907	56
— 1908	33
— 1909	27
— 1910	25
— 1911	30
— 1912	24
— 1913	25

Dane ministerjalne dowodzą również, że zmniejszyła się i ilość przestępstw z bronią w rękę.

Ogólna ilość takich przestępstw wynosiła:

w r. 1907	9998
— 1908	1044
— 1909	7182
— 1910	4910
— 1911	2808
— 1912	2443
— 1913	1408

W ten sposób zarówno ilość napadów zbrojnych, jak i liczba poszwankowanych wskutek nich policjantów zmniejszyła się 4 i pół raza w porównaniu z rokiem 1907.

### — Zmiany w rządzie.

Od dłuższego czasu w prasie rosyjskiej omawiano słynne posiedzenia w znanych salonach hrabiny Ignatjewej. Na posiedzeniach tych uznano obecny skład Dumy Państwowej za zupełnie nie odpowiadający potrzebom chwili, a przedewszystkiem za zbyt wolnomyślny. Uchwalono więc, że Duma czwartego powołania powinna być natychmiast rozwiązana, nowe zaś wybory odłożone na czas nieokreślony.

Czy obecna nominacja p. Goriemykina, który był prezesem gabinetu podczas pierwszej Dumy jest w związku z tą



uchwałą—niewiadomo. W każdym razie nasuwa się mimowoli analogja.

Za najbardziej znamieną uznają jednak pisma rosyjskie nominację p. Barka, którego szybki i niespodziewany awans wobec upadku p. Kokowcowa, nabiera znaczenia pierwszorzęd- nego. Najwidoczniej jest on nową siłą polityczną, w której sfery reakcyjne pokładają wielkie nadzieje.

### Książki nadesłane do Redakcji.

**Eljan.** *Jak odtamana gałąź.* Warszawa 1914. Skład główny w księgarni E. Wende i Spółka.

**Józef Stanisław Wierzbicki.** *„Księga ciszy“.* Poezje. Nakładem księgarni W. Makowskiego. Wilno—Mińsk.

**Aleksander Zaborowski.** *„Mowa Bogów“.* Poezje. Wilno. 1913. Drukarnia „Znicz“.

**Kazimiera Ostachiewiczowa.** *Nowe prądy, nowe dążenia w wychowaniu.* Wiek XIX i XX przez . . . . . Z zapomogi kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowym imienia J. Mianowskiego. Druk. J. Zawadzkiego w Wilnie. 1914.

### Treść numeru.

Przykład do naśladowania — L. A.  
 Pracowite ministerjum — Wi—skiego.  
 Masony — H. R. C.  
 Listy z Galicji — J. Krzesławskiego.  
 Z Francji i o Francji — St. Posner.  
 Z cyklu „Symbole“ (wiersz) — J. S. Wierzbickiego.  
 Na marginesie — Behra.  
 Dokoła sceny — rc.  
 Przegląd piśmienniczy — W. Kiślańska i E. Wielewiewska.  
 Prasa polska  
 Z za kulis terroru i prowokacji.  
 Kronika.  
 Odcinek: Był sobie paż — J. Lorentowicza.

## „TANIE WYDAWNICTWA”

Księgarnia przy ulicy Wileńskiej № 23.

Poleca duży wybór kalendarzy, książek, wydawnictw ludowych, pocztówek, oraz materiałów piśmiennych.

## KRYTYKA

Czasopismo politycz-  
no-społeczne i arty-  
styczno-literackie

wychodzące od piętnastu lat w Krakowie od Stycznia 1914 r. przeobraża się na

### DWUTYGODNIK

Program „Krytyki“: samoistność i twórczość narodu i jednostki: Szereg pisarzy (D-r Bol. Limanowski, Wł. Studnicki, W. Feldman, D-r M. Kukiel, D-r M. Sokolnicki i inni) rozbiera bieżące sprawy polityki i wojskowości polskiej, gdy myśliciele (I. Wł. Dawid, Kaz. Błeszyński etc.) oraz wybitni artyści pióra torują drogę wysokiej kulturze duchowej. „Krytyka“ pragnie przekonywać czytelnika, nie dogmatyzować, umieszcza tedy artykuły dyskusyjne. Nadto w każdym numerze sprawozdania z ruchu wychowawczego, z teatrów, nowości wydawniczych etc. O Królestwie i Rosji umieszcza „Krytyka“ stale obszernie artykuły, zaznamiające ze stanem rzeczy krytycznie.

Jako dwutygodnik będzie „Krytyka“ mogła spełniać swe zadania w tempie szybszem w sposób nierównie aktualniejszy.

Prenumerata „Krytyki“ wynosi rocznie 20 k., 10 rb., półrocznie 5 rb., 10 koron.

Adresować należy: Administracja „Krytyki“, Kraków, ul. Staszica 5.



# TOWARZYSTWO KREDYTOWE m. WILNA

Prospekt Ś-to Jerski 5.

Wydaje pożyczki długoterminowe pod zastaw domów i placów niezabudowanych w obrębie miasta. Pod murowane domy i place: na 36 lat 10 mies. i 36 lat 4 mies. na 6 $\frac{1}{2}$ % przy amortyzacji 1%. Pod drewniane na 19 lat 11 mies. na 8 $\frac{1}{2}$ % przy amortyzacji 3%.

Wylosowuje dwa razy do roku w końcu lutego i sierpnia listy zastawne swego T-wa, za które wypłaca sto za sto.

Listy zastawne T-wa są przyjmowane jako kaucja przy wszelkich przedsiębiorstwach i dostawach rządowych i pod zastaw w Banku Państwa po 60 za 100.

## Wileńskie Towarzystwo

### Wzajemnych Ubezpieczeń od Ognia

egzystuje od roku 1883,

należące do Rosyjskiego Związku Towarzystw Wzajemnych ubez. od ognia z kapitałem 7.000.000 rb.

Asekuruje na warunkach ulgowych nieruchomości i ruchomości w Wilnie, jak również nieruchomości w m. Nowo-Wilejsku, Lidzie, Święcianach, Nowo-Swięcianach, Kownie, Szawlach i Poniewieżu.

Zarząd T-wa w Wilnie, ul. Wileńska № 15.

Biuro czynne codziennie od god. 10 do 3-ej p.p., za wyjątkiem dni świątecznych i sobót (w okresie od 1-go maja do 1-go września włącznie).

Wszedł z druku, nakładem Zygmunta Nagrodzkiego, kalendarz

## „WIEŚNIAK”

zawierający wiele ciekawych i pożytecznych artykułów różnej treści.

**Cena kop. 10.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

**Cena kop. 10.**

Skład główny w księgarni „KULTURA”, Wilno, prospekt Ś-to Jerski № 7.

## Dostępna dla każdego możliwość zakupu działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzyncu”. Miejscowość ładna i zdrowa; las, rzeka. Ceny i warunki dogodne. Śpiesznie nabywać! Do sprzedania pozostała nader szczupła ilość gruntu. Jest to ostatnie przypomnienie! Po informacje należy się zwracać do Biura sprzedaży parceli w Zwierzyncu:

Wilno, Zwierzyniec, Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Telefon № 46.

**Informacje są udzielane w ciągu całego dnia nie wyłączając świąt.**